Nr. 183. Lwów — Sobota dnia 10 Sierpnia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech . . . 1 „ 50 „
w innych państwach . . 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 5 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . 30 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" u. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Wawrzyńca | Jutro: F. 10 po Św. | Kałynyka N. 10 po Sosz. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI. | Wschód słońca g. 4 m. 54, Zachód „ „ 7 „ 13 | Długość dnia g. 14 m. 19, Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 9 sierpnia.

W świecie politycznym zwrócono ogólną uwagę na to, że londyński *Standard*, będący jak wiadomo organem prezesa gabinetu angielskiego i ministra spraw zagranicznych lorda Salisbury'ego, raz po raz występuje przeciw polityce zagranicznej kanclerza niemieckiego księcia Hohenlohego, któremu zarzuca kokietowanie z Rosyą i Francyą. „Niemcy — pisze ten dziennik — chcą być filarem grupy mocarstw środkowo-europejskich, a równocześnie kokietują z jej wrogami, towarzyszą im w akcyi przeciw Japonii i z nimi tryumfującą wołają, że w Azyi poniosła Anglia porażkę. Byłoby rozsądniej, gdyby Niemcy zachowały raczej przyjaźń angielską". Wnet po tym artykule *Standard* z okazyi przybycia cesarza niemieckiego do Anglii wystąpił z takiem rozumowaniem: „Cesarz Wilhelm może w Anglii zawsze być pewnym serdecznego przyjęcia, raz dlatego, że jest wnukiem królowej, a powtóre, że jest przyjacielem i sprzymierzeńcem Wielkiej Brytanii. Człowiek tak wielkich zalet i niezwykłych zdolności, jak młody cesarz, zapewne nigdy nie będzie lekceważył wartości doświadczeń sędziwego wieku, jakiem cieszy się jego królewska babka. Jako dla wnuka, żywimy dlań zawsze szczere sympatye, ale jako władzcę Niemiec oceniamy go wedle tego, jakiego rodzaju stosunki utrzymuje z Anglią. Owóż faktem jest, że podczas urzędowania ostatniego gabinetu angielskiego stosunek między Anglią a Niemcami nie zawsze był zadowalający i nie miał tego przyjacielskiego charakteru, co dawniej. Jakakolwiek partya była u steru, zawsze angielscy ministrowie pragnęli utrzymywać jak najlepsze stosunki z Niemcami. Bo ostatecznie było to czemś zupełnie naturalnem, że Anglia i Niemcy były sobie przyjaciółmi i sprzymierzeńcami, a sprzeciwiałoby się to prostej logice, gdyby tak nie było. Kardynalne bowiem interesa obu państw są zupełnie identyczne, a w ważnych kwestyach zasadniczych nie ma między Anglią a Niemcami żadnych punktów spornych. Przyjaciel powinien umieć znosić słabostki przyjaciela. Przytem jednak nie zawsze szedł nam cesarski rząd niemiecki w ciągu ostatnich dwóch lat.

„Co więcej, można śmiało powiedzieć, że polityka cesarska w tym okresie okazywała zanadto wiele skłonności do dyplomatycznych eksperymentów. Polityka angielska, zwłaszcza wobec zaprzyjaźnionych mocarstw, jest bardzo prosta i szczera. Przy całym zresztą podziwie dla księcia Bismarka, wystrzegali się zawsze angielscy mężowie stanu naśladowania jego strategii. Są oni przyjaciółmi swoich przyjaciół, a nieprzyjaciółmi ich nieprzyjaciół, gdy tego potrzeba, wszelako nigdy nie traktowali swoich przyjaciół z ukrytą zawiścią i podejrzliwością. Trudno przypuścić, ażeby Niemcy cokolwiek zyskały na tem, że zboczyły z naturalnej linii stosunku swego do Anglii. Zdumienie wprost ogarnąć musi, gdy się widzi Niemcy w tej ostatniej akcyi przeciw Japonii, i gdy się czyta, w jaki sposób mocarstwo, które obok Rosyi i Francyi w swoich dziennikach głoszą, że dyplomacya odniosła jakoby wielkie polityczne zwycięstwo nad Anglią w Azyi wschodniej. Udział Niemiec w tej spółce nie trwa wprawdzie długo, ale tak dobrze nie może długo trwać. Cała ta sprawa wygląda tak, jak gdyby Rosya i Francya dzieliły ostrygę na dosyć nierówne porcye i dały Niemcom obie skorupy, nie zwracając nawet najmniejszej części. Nie potrzebowalibyśmy ubolewać nad tym wypadkiem, gdyby on tylko sprawił to, żeby Niemcy zawsze się przejrzały.

„Życzliwość Anglii, której Niemcy długo doświadczały, jest bez wątpienia o wiele więcej warta, niż jakie chwilowy zysk z kokietowania z Francyą i Rosyą. Słuszną jest rzeczą, jeżeli Niemcy starają się żyć na dobrej stopie z obu temi państwami, ale jeżeli cesarz myśli, że Francya zapomni o Sedanie, a Rosya o kongresie berlińskim, to znajduje się w fatalnym błędzie. Natomiast Anglia nie potrzebuje nic przebaczać, nic darowywać, nic burzyć. To też zarówno w małych sprawach, jak i wielkich, w europejskich lub azyatyckich, zarówno jak podrzędnych kolonialnych, powinny Niemcy i Anglia traktować się otwarcie i po przyjacielsku. Z tego cośmy powiedzieli, nie wynika wprawdzie, ażeby stosunki między Anglią a Niemcami nie były dobre, ale my chcielibyśmy, ażeby one były jeszcze lepsze, a mamy nadzieję, że to życzenie spełni się teraz, gdy lord Salisbury jest ministrem spraw zagranicznych".

W końcu wyrażono w tym artykule nadzieję, że cesarz Wilhelm skorzysta zapewne z pobytu swego w Anglii, aby wejść w pewien kontakt z opinią narodu angielskiego w kwestyi macedońsko-bułgarskiej.

Artykuł ten *Standarda* ogromnie zirytował prasę niemiecką, zwłaszcza bismarkowską. *Hamburger Nachrichten*, przyboczne pismo Bismarka, pisze, że wprost oburzającym jest pyszałkowaty ton, w jakim ministeryalny organ angielski wita „młodego" cesarza i reklamuje go dla Wielkiej Brytanii jako alianta. „W obecnej konstelacyi europejskiej — pisze bismarkowski organ — bylibyśmy bardzo zaniepokojeni, gdyby Niemcy tak zbliżyły się do Anglii, iżby to dawało londyńskim pismom prawo uważać cesarza Niemiec za sojusznika Anglii. Takie bowiem zbliżenie musiałoby się dokonać na koszt naszych stosunków do Rosyi, a najważniejszem zadaniem niemieckiej polityki zagranicznej jest pielęgnować dobre stosunki z caratem. Cesarz niemiecki nie jest wasalem królowej angielskiej i nie myśli wbrew interesom Niemiec oddawać Anglii antirosyjskich usług". Inne pisma niemieckie również niezadowolnione są z tonu, w jakim *Standard* przemawia, a organ kanclerza ks. Hohenlohego, *Post* dość ostro odpowiada *Standardowi*, że Niemcy prowadzą jedynie przezorną politykę, zasadzającą się na tem, że lepiej jest po przyjacielsku porozumieć się z Rosyą, aniżeli mieć w niej wroga.

Wizycie króla rumuńskiego w Ischlu jedni odmawiają wszelkiego politycznego znaczenia, inni natomiast utrzymują, że zapadły podczas niej ważne postanowienia. Głoszą, że jedyny nieaustryacki dygnitarz, który brał udział w przyjęciu króla Karola, ambasador niemiecki hr. Eulenburg, przywiózł dla króla list ces. Wilhelma II z propozycyami, które już przedtem były przedmiotem poufnych narad, a które posłużyć mają za podstawę do ostatecznych rokowań, przeprowadzonych przez ks. Hohenlohego i hr. Eulenberga ze strony niemieckiej, a ministra Lahovary'ego ze strony rumuńskiej. Rezultatem tych rokowań jest jakiś pisemny układ, podpisany przez króla Karola i księcia Hohenlohego w imieniu cesarza Wilhelma. O treści tego układu dzienniki donoszą jeno tyle, że reguluje on stosunek Rumunii do Niemiec, uwzględniając dokładnie wszelkie możliwe wypadki polityczne.

Korespondencye.

Wiedeń 5 sierpnia.

Bilans handlowy za pierwsze półrocze w ostatecznie stwierdzonych cyfrach dowozu 364·35 mil. zł. i wywozu 347·97 mil. zł. zamyka się nadwyżką importu 16·38 milionów. Jest to cyfra nader niekorzystna, zwłaszczcza jeżeli się zważy, że w bilansie handlu austro-węgierskim nadwyżki dowozu nie było i że jeszcze w roku ubiegłym, który wcale nie mógł się nazwać pomyślnym, dowóz wynosił tylko 355·80 mil. a wywóz 368·39 milionów (w pierwszych 6 miesiącach) a więc nadwyżka wywozu wyrażała się cyfrą 12½ miliona. Bilans przeto pogorszył się blisko o 29 milionów.

Na argument, że siła konsumcyi ludności w państwie wzrosła i wskutek tego więcej sprowadzano towarów, zgodzić się trudno. Taki szybki wzrost zamożności w Austro-Węgrzech i to w czasie, kiedy ceny zboża tak niebywale są niskie, kiedy cukrownictwo przechodziło przez ciężkie przesilenie i kiedy wywóz wielu innych fabrykatów znacznie się zmniejszył, jest wprost niemożliwy. Wytłumaczyć łatwiej będzie wzrost importu wpływem wysokiego kursu waluty, który przynęcał zagranicznych eksporterów, a także innemi ubocznemi mniej już na całość handlu wpływającymi powodami. Zastanówmy się naprzód nad zmniejszeniem eksportu. Eksport zboża trzymał się mniej więcej w tych samych granicach, a nawet podniósł się o blisko ½ prct. (z 2,187.621 centnarów na 2,196.495 ctn.) W tej łącznej sumie większą część zajmuje eksport jęczmienia (1.166 mil. ctn.), który wzrósł o blisko 98 tysięcy centnarów (z 1·068 mil. w r. 1894). Znaczną też zwyżkę, bo blisko 30%, wykazuje eksport pszenicy, który wzrósł o przeszło 74 tysięcy centnarów. Na pozór byłyby to nawet pocieszające cyfry. Smutne jednak są one mimo względnego polepszenia, jeśli się je porówna z dawnemi cyframi wywozu, większemi dwa do trzech razy (w pozycyi pszenicy). Zwyżki te zresztą w wywozie pszenicy i jęczmienia posłużyły tylko na pokrycie znacznych niedoborów w pozycyach owsa i kukurudzy. Owsa już w r. 1894 bardzo mało wywożono (81.396 ctn.), w bieżącym roku spadł wywóz na 12.722 ctn., kukurudzy zaś na blisko 18 000 ctn. (z 95 tysięcy w r. 1894). Wywóz żyta przed kilku jeszcze laty tak znaczny ustał niemal zupełnie, (wynosił tylko 1592 ctn.!) Spadł też bardzo wywóz strączkowych (z 470 tysięcy na 223 tysięcy), którego to spadku żadną miarą nie zrównoważy wzrost eksportu kartofli (z 83 tysięcy na 235.000 ctn.).

Wogóle jednak, mimo ujemnych także pozycyi w eksporcie świeżych owoców (z 48.000 na 11.000 ctn.), grysu (z 446.000 na 140.000 ctn.), siana (z 253.000 na 154.000 ctn.), słomy (z 600.000 na 36.000 ctn.), wywóz produktów rolniczych nie był gorszym, niż w roku ubiegłym. Również wywóz mąki (617.500 ctn. w roku 1894, 630.000 w r. 1895), spirytusu (88.000 w r. 1894, 90.000 w r. 1895) mało co się zmienił, a wywóz piwa i wina (pierwszego o 31·7 tysięcy ctn., drugiego o 21·5 tysięcy) znacznie się nawet podniósł.

Dopiero pozycye cukru i bydła zmieniają całą cyfrę wywozu. Cukru surowego wywieziono mniej o 98.000 ctn (185 tysięcy), a rafinady mniej o 303.700 ctn (1,681.000). Razem stanowi to spadek eksportu w kwocie 12·4 milionów złr. Dalej spadł też wywóz bydła o 10.053 sztuk i nierogacizny o 76.632 sztuk (wskutek zarazy) i owiec o 53.139 sztuk. Razem zmniejszyła się wartość wywozu bydła o 10 mil. zł.

Podczas gdy spadek eksportu cukru jest tylko skutkiem chwilowego przesilenia, które w znacznej części ustąpić musi już w następnej kampanii, ze zmniejszeniem się wywozu bydła rzecz ma się zupełnie inaczej. W ubiegłym roku po koniec grudnia wywieziono samego bydła rogatego o 180.227 sztuk więcej (228.464), niż w r. 1893, nierogacizny o 54.430 sztuk więcej (485.063), owiec o 116.112 więcej (343.100). Wartość tego zwiększonego wywozu reprezentowała 64 milionów.

Otóż bez względu na zarazy, choroby bydła, zamknięcie granic i inne szkodliwe okoliczności, które obecnie tamują wywóz bydła, taki eksport nie może być stałym poprostu z tego powodu, że bydła w Austro-Węgrzech nie rodzi się i nie hoduje tyle nad własne potrzeby. Już w r. 1894 wartość wywozu fabrykatów spadła o jakie 17 milionów, ale eksport bydła ratował sytuacyę. W bieżącym roku ratować jej nie może. Wywóz różnych materyałów do fabrykacyi i fabrykatów w pierwszych 6ciu miesiącach wzrósł wprawdzie w porównaniu z r. 1894 o jakie 4 miliony (3·940 mil.), ale wywóz produktów rolniczych, paszy dla bydła i zwierząt zmniejszył się w tym samym czasie o 13·38 mil. (zwierząt samych, jak już podano o 10 mil.)

I bez przesilenia cukrowego wywóz z monarchii w ubiegłem półroczu przedstawiałby się bardzo smutno. Jednem słowem eksport zboża nie podnosi się, zaś eksport fabrykatów podnosić się nie może tak szybko, jak przemysłowcy zapowiadali, a eksport bydła upadać musi, bo Austro-Węgry nie mogą tyle „wyprodukować" rocznie, jak rękawiczek, butów i ubiorów, w miarę żądań zagranicy.

Jedyny ratunek dla handlu zewnętrznego byłby w jak najszybszem wzmocnieniu pozycyi rolnika. Państwo powinno na koszt własny zakładać (jak Rosya) magazyny, do życia powołać banki rolnicze, kredyty tanie dawać na zboże, zreformować ustawy bankowe, krępujące dziś kredyt osobisty właściciela ziemi, wespół z krajami i powiatami udzielać pożyczek bezprocentowych lub małoprocentowych na melioracye, wyjątkowe ustanowić taryfy na zboże wprost za granicę idące, ulgi przyznać podatkowe właścicielom ziemi, a zupełnie zwolnić od podatku nowe gdziekolwiek w państwie wydawane $3^1/_2$ procentowe listy zastawne, na pewien zaś szereg lat uwolnić od podatków wszelkie krajowe instytucye poważne (zarówno spółki komandytowe, jak akcyjne towarzystwa), zajmujące się wywozowym handlem zboża. Jeżeli będziemy lekceważyli smutny stan rolnictwa i pod wpływem doktryn przemysłowców kapitalistycznych będziemy utrzymywali, że Austro-Węgry samym wywozem fabrykatów dotrzymać potrafią swoich zobowiązań zagranicznych, wynoszących 130 do 150 milionów rocznie, to ani nagromadzenie złota w kasach państwowych, ani kredyt monarchii, ani ogromna obfitość kapitałów zachodnich, których słabe tylko strumyki spływają aż do stolicy naddunajskiej, nie uratują monarchii od najcięższych przesileń. W Austro-Węgrzech pracuje na roli 60 procent ludności, kóra żyje wyłącznie z tej pracy. Żadne sofizmata kapitalistycznych ekonomistów faktu tego nie usuną i nie przerobią jednym tchem milionów wieśniaków w proletaryat fabryczny.

Równolegle z upadkiem wywozu (dającego się tłumaczyć tylko upadkiem handlu zbożowego, a zamaskowanego chwilowo — jak to *Przegląd* wielokrotnie wskazywał — zwiększonym w roku ubiegłym wywozem bydła) idzie dość szybki wzrost importu. Import wzrósł o 8.5 miliona (eksport spadł o 20.4 miliona). Suma ta byłaby jeszcze znaczniejszą i wynosiłaby nawet 16.5 mil. zł., gdyby nie ubytek w dowozie produktów rolniczych i bydła (— blisko o 4.5 mil. zł.), materyałów i fabrykatów przemysłu tkackiego i sukienniczego, tudzież chemikalii (przeszło 8.5 mil. zł.).

Ten ubytek dowozu zboża i bydła przecież nie dowodzi wzrostu zamożności i siły konsumcyjnej w Austro-Węgrzech. Bydła rogatego nie dowieziono zresztą mniej; zmniejszanie się importu przypada na nierogaciznę (na małą stosunkowo cyfrę 29.000 sztuk) i na zboże, którego dowóz spadł z 3,617.760 na 2,367.221 ctn. (o 1,250.539 ctn.). A ponieważ zboża nie wywieziono mniej, niż w roku ubiegłym, przeto zmniejszenie się cyfry importu jest chyba raczej ujemną oznaką, niż dodatnią. Dowieziono więcej tylko różnych owoców, jaj, kawy i innych artykułów, spożywanych przez zamożną tylko ludność. Dowieziono także więcej za 5 do 7 milionów zł. tytoniu (na rachunek skarbu). Wszelki inny dowóz obejmował jedynie maszyny, kruszce i węgle, a było to, jak już dowodziliśmy, spekulacyą importerów, nie zaś rezultatem wzrostu zamożności. Jakkolwiek tedy rzecz rozpatrywać, zawsze się okazuje, że bilans handlowy monarchii się pogarsza,

Kronika warszawska.

Warszawa 6 sierpnia.

Chłodniejsze a mimo to pogodne dni, jakie nastały, sprzyjają teatrzykom ogródkowym, które wracają do mody, bo publiczność nabiera do nich zaufania, widząc, że poważnie zadanie swe traktują. Zwłaszcza „Wodewil", którego dyrekcya spoczywa w rękach pp. Michała Wołowskiego i Lucyana Dobrzańskiego, wysunął się na czoło towarzystw prowincyonalnych i święci częste tryumfy. Personal wodewilowy — odpowiednio powiększony, zbogacony i wymusztrowany, zamierza udać się na zimę do Petersburga.

Tegoroczne powodzenie „ogródków" i pewnych sztuk, w nich wystawianych, nastręcza dość ciekawe refleksye na temat naszej publiczności.

Kto czytuje dzienniki i tygodniki warszawskie, wie, że o teatrze i sprawach teatralnych mówią często, a przeważnie z niemałą znajomością rzeczy. Długo trzeba przebierać między miastami zagranicznemi, nim znajdziemy ognisko życia umysłowego, posiadające tylu wytrawnych recenzentów, a w różnych pismach tyle działów teatralnych, redagowanych i umiejętnie i artystycznie.

Krytyka teatralna nad Wisłą zna literaturę dramatyczną, zna scenę i jej potrzeby, zna zdolności i temperament każdego aktora i każdej aktorki; czy zna również dobrze usposobienie publiczności?

Co się Warszawie podobało najbardziej w ciągu bieżącego lata? Nikt, znający stosunki, nie zawaha się ani chwili i odpowie natychmiast, że nic nie da się porównać z powodzeniem, jakiem się cieszyła „Madame Sans-Gêne", komedya historyczna Wiktoryna Sardou. Grano ją dwadzieścia kilka razy w teatrze Letnim — grała ją trzydzieści razy trupa pana Wołowskiego w ogródku, a dalsze przedstawienia są już zapowiedziane. Krytyka oceniła tę komedyę surowo i miała do tego prawo, bo błędów i niedostatków w niej wiele, ale zarazem przepowiadała jej rychły zgon, a pod tym względem omyliła się całkowicie.

Ci, którzy wiedzą, co są naprawdę warte utwory w rodzaju „Madame Sans-Gêne", ci, których wreszcie krytyka przekonać może, stanowią mniejszość znikającą i nie zapewnią żadnej sztuce trzydziestu przedstawień. Po za nimi stoi warstwa, którą przywykliśmy uważać za przedstawicielkę ogółu Warszawiaków, która jednak nią nie jest. W znacznej części składa się ona z jednostek o wykształceniu literackiem, jakie dać może fejleton dziennika, o sądzie estetycznym, wyrobionym przy partyi bilardu, o niepohamowanej chęci zabawienia się i o nieprzezwyciężonej odrazie do wszelkich rozrywek, połączonych z natężeniem umysłu. Ta część towarzystwa warszawskiego gotowa pójść na każdą sztukę, w której są kuplety, kostyumy, skrócone do minimum i czardasz w drugim akcie. Ale na kole towarzyskiem, którego lwem jest szykowny kantorzysta, nie kończy się zastęp publiczności. Jest po za tem wszystkiem jeszcze cała armia odwodowa, złożona z ludzi, którzy nie mieli czasu przesycić się przyjemnościami, którym długoletnie uczęszczanie na widowiska nie wydelikaciło smaku, którzy mają gusta odmienne, a sztukę i literaturę pojmują naiwnie. Gdy jakiś dramat nie schodzi przez cały miesiąc z afisza, niechaj autor im podziękuje.

Ci goście teatralni żądają dwóch rzeczy. Po pierwsze pragną silnych wrażeń, powtóre chcą, by na scenie wypowiadano to, coby wypowiedzieli sami, gdyby umieli swe myśli ubrać w literacką formę. Rzecz oczywista, że Pailleron lub Daudet im nie wystarczają; nawet Sudermann bywa za subtelny. Mówiąc w ich imieniu, trzeba mówić tak, jak ex-praczka do sióstr cesarskich..

Zwykle po chłodnem lecie następuje ciepła jesień, więc komitet, urządzający wystawę ogrodniczą, zaciera ręce z powodu nastania chłodnych dni i życzy sobie, aby przeciągnęły się do końca lata.

Ostatnia ta w bieżącym roku wystawa, gdyby tylko dorównała poprzedniczce swej z przed lat dziesięciu, już byłaby godna pochwał i względów publiczności. A zdaje się, że ją przewyższy. Wzięła ją pod swą opiekę prasa, która, choć sztandarem „bezstronności" nieustannie potrząsa, posiada jednak i pomiędzy instytucyami publicznemi — faworytów. Szczególne zainteresowanie budzą objęte programem wystawy ogrodniczej „konkursy włościańskie". Mają one na celu podniesienie przemysłu ogrodniczego i sadowniczego wśród naszych chłopów, którzy dotąd przeważnie z kwiatów znają tylko malwy i słoneczniki, a z jarzyn — kartofle i kapustę Komitet wystawowy, za pośrednictwem obywateli ziemskich i księży, rekrutuje sobie licznych do tego działu wystawców.

Warszawski „wąż morski" znów wytknął głowę czy też ogon. Mityczna „kompania francuzka" Devarsa, o której co roku w porze letniej piszą dzienniki, że już już ma przybyć do Warszawy i pobudować różne cuda, a zwłaszcza bulwary nad Wisłą, przybywa, aby ostatecznie zakupić gmach szpitala Dzieciątka Jezus, a przy tej sposobności zająć się mnóstwem innych wielkich przedsięwzięć, między któremi nie brakuje pewnie i... owych bulwarów. Co do szpitala jednak, sprawa weszła już na drogę pewną, dzięki upoważnieniu warszawskiego jenerał-gubernatora do sprzedania zabudowań szpitalnych za sumę rs. 1,475.000.

Szpital „Dzieciątka Jezus", stanowiący jedną z najpiękniejszych kart w historyi dobroczynności warszawskiej, założony jeszcze w wieku ubiegłym przez słynnego księdza Baudouina. Obecnie podjęto myśl wzniesienia pomnika księdzu Baudouin'owi. Piękna ta postać dawno już na hołd ten oczekuje. Ks. A. Brykczyński w odezwie nadesłanej do redakcyi jednego z tutejszych pism, zwraca uwagę, że chwila, w której dokonywać się mają przenosiny szpitala Dzieciątka Jezus i porządkowanie całego placu, jest dla sprawy tej najodpowiedniejsza.

Rzeczywiście, pomnik taki należy się i filantropowi i miastu, które pod względem rzeźby monumentalnej dziwnie skąpo jest wyposażone. Niezbyt liczne, a jednak w stosunku

---

66)

PAWEŁ BOURGET.

ZA MORZAMI.

(Ciąg dalszy).

Skoro się już mówi o rozrywkach amerykańskich, byłoby niesprawiedliwością nie wspomnieć także o tak żywem zamiłowaniu w przyjemnościach intelektualnych u ludzi wykształconych tak licznych w tym kraju.

Zaznaczyłem już — mówiąc o konwersacyi salonowej — czem staje się u nich ta inteligencya i jaką ona okazuje wolę, aby osiągnąć to, co nazwałem własnym punktem widzenia. Do tych to ludzi, zwłaszcza gdy się ich życie intellektualne bierze na uwagę, daje się trafnie zastosować słowa pustelnika z wieków dawnych: „Oczy ich nienasycone są patrzenia, a uszy słuchania".

W ten to sposób, w skutek ciekawości ustawicznie naprężonej, dochodzi Amerykanin, ten syn narodu tak młodego, do stanu ducha, który my zwykliśmy uważać za ciężki błąd i największe wyrafinowanie obecnych czasów dekadencyi, t j. dyletantyzmu. Tego stanu ducha, zasadzającego się na tem, że człowiek myślą wżyje się w rodzaje życia najbardziej rozmaite i najbardziej sobie przeciwne, że je zrozumie i przywłaszczy sobie i chwilowo oddaje się im, nigdzie nie spotkałem bardziej rozwiniętego, jak w Stanach Zjednoczonych. Z tego wywnioskowałem, że my, moraliści starej Europy, nie mieliśmy racyi, przypisując temu stanowi wszystkie nasze z wyrodnienia sentymentalne i choroby woli. Powoduje je raczej to, że nasze społeczeństwo jest za stare.

„Wszystko jest czystem dla czystych" — powiada przysłowie często źle tłómaczone. Tak samo słusznie powiedzieć można, że w rzeczach moralnych wszystko jest zdrowem dla zdrowych, niezdrowem dla chorych. Jest to jeden z tych wniosków, które mi podczas tej podróży najczęściej na myśl przychodziły. Jest on pocieszający i okrutny zarazem — pocieszający, ponieważ zmniejsza naszą część odpowiedzialności przed nami samymi i przed przodkami naszymi za choroby, które zatruwają Europę, ale jest i okrutny. Czyż potrzeba mówić dla czego?

Ten dylentantyzm wykształconych Amerykanów, najlepiej uwidocznia się w rozlicznych klubach literackich. Jeden z najbardziej reprezentacyjnych jest „Tavern-Club" w Bostonie mieści się on w niewielkiej trzypiątrowej kamieniczce. W parterze znajduje się fumoir i przedpokój, na pierwszem piętrze sala jadalna, a na górze sala do produkcyi muzykalnych i rozmaitych przedstawień. Klub ten odpowiada mniej więcej dawnym stowarzyszeniom paryskim z dzielnicy łacińskiej, jak np. Stowarzyszeniu hydropatów, którego historyę napisał założyciel jego, poeta Emil Gondeau w małem dziełku p. t. „Dziesięć lat życia cygańskiego". Dziełko to mojem zdaniem jest najlepszym dokumentem, rzucającym światło na naszą młódź literacką między latami 1870 i 1880. „Tavern-Club" założyła także młodzież literacka Bostonu, młodzi literaci, młodzi malarze, młodzi muzycy. Oto kilka rysów odróżniających ten klub od podobnych mu klubów nowojorskich. Mojem zdaniem rysy te charakteryzują doskonale zdrowy odcień dyletantyzmu amerykańskiego".

1) Szacunek młodszych dla starszych i wzajemnie szacunek starszych dla młodszych. Prezydentem Tavern-Clubu jest naprzykład znakomity profesor Norton z Cambridge. Gdy klub daje swój obiad miesięczny, siedzą tam przy jednym stole sędziowie, bankierzy i lekarze, wszystko ludzie sędziwi o siwych włosach, a obok nich ludzie młodzi, interesujący się temi samemi zagadnieniami z dziedziny sztuki. Amerykanin troszczący się życiem umysłowem nie zatrzymuje się w pogoni za nowością, tak samo jak nie zatrzymuje się w pogoni za fortuną, gdy jest aferzystą. Usłyszycie tam jak stary amator obrazów rozmawia z największą znajomością rzeczy o Degasie albo o Gustawie Moreau z młodym malarzem, udającym się do Paryża, jak znów ten drugi z tą samą znajomością rzeczy rozprawiać będzie z jakimś romansopisarzem o Flaubercie o Goncourtach, o Maupassancie. I trzeba przyznać, że bardzo dobrze oddziaływa to zlanie się ludzi rozmaitego wieku. Ale nie jestże to raczej skutkiem niż przyczyną? Jeżeli u nas ludzie rozmaitego wieku tak się nie zgadzają pod względem gustu, jeżeli zdarzają się między nimi nieporozumienia tak gwałtowne, dzieje to się skutkiem tego, że oprócz zdań różnych stają w sprzeczności także różne sposoby życia. Wyobrażam sobie, że młodzi Paryżanie dzisiejsi nie o wiele różnią się na tym punkcie od tych, których ja znałem, gdy jeszcze nie miałem lat trzydziestu. Buntowaliśmy się na punkcie uczuciowości i obyczajów przeciw starszym. Nie zdarza się to samo w Ameryce, gdzie gusta literackie i artystyczne są rzeczą czysto intelektualną. Uczyniłem już wzmiankę mówiąc o Harvardzie jak zamiłowanie w pisarzach francuskich najskrajniejszego kierunku jest tam powszechne i niewinne zarazem. Jestto podobne do afiszów Cheret'a przedstawiających Moulin-Rouge, które zdobią ściany tego Tavern-Clubu obok kopii „Prządek" Velequera, gdzie się widzi ową szyję kobiecą z tak wielką siłą namalowaną. Maleńka figurka szelmeczki paryskiej zajmuje tu właśnie miejsce tych pięknych kurtyzan greckich, które się stały statuetkami z Tanagry.

2) Znajomość głęboka sztuk i literatur zagranicznych. Już samo wymawianie tych kilku imion, które, przytoczyłem, wskazuje na pewne oczytanie. Ludzie ci wymawiają je i wiele innych w sposób stwierdzający nietylko powierzchowne oczytanie ale sumienną i gorliwą naukę. Nie powiem znajomość zupełną, bo dyletantyzm choćby najrozumniejszy, jest zawsze niepewnym, gdy się odnosi do pisarzy cudzoziemskich. I tak słyszałem w Oxfordzie krytyka, może najlepszego w naszym wieku, nieodżałowanego Waltera Petera mówiącego o Flaubercie i Feuillecie jako o dwóch najbardziej przez siebie lubianych mistrzach prozy francuskiej. Stawiał ich obok siebie i z tych samych powodów podziwiał ich obu i męszał ich sposób pisania tak zasadniczo różny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

do zapotrzebowań zaaadto liczne, pracownie rzeźbiarskie w Warszawie rozpoczęłyby okres prawdziwego „odrodzenia“, gdyby u nas ruch w tym kierunku ożywił się, a właściwie: obudził.

Zanosi się na ważne zmiany w zarządzie teatrów, a to w skutek długotrwałej choroby prezesa czyli dyrektora ich Karandiejewa i śmierci pomocnika jego, wice-prezesa Folanda. Jak donosi *Nowoje Wremia*, „uwzględnione będą nowe zasady w prowadzeniu teatrów“, ale co to będą za „nowe zasady“ dotychczas nie wiadomo.

Mówią, że godność pomocnika dyrektora już powierzono kasyerowi w biurze generał-gubernatora radzcy starszemu Vacqueretowi.

Ten sam dziennik *Nowoje Wremia* poruszył inną sprawę interesującą, mianowicie kwestyę urzędników Rosyan w ziemiach polskich. Wiadomo, że urzędnicy tacy, przybyli zwłaszcza z rosyjskich guberaii, mają prawdziwie jedwabne życie, to jednakże im nie wystarcza i domagają się rozszerzenia jeszcze tych przywilejów. Wspomniany korespondent pisze, że wszelkie procentowe nadbatki i zapomogi np. na „wychowanie dzieci“ i t. p., straciły znaczenie wobec ciągle drożejącego życia. Zwłaszcza — zdaniem korespondenta — „niesprawiedliwością“ jest, że podczas, gdy „Niemiec-luteranin“ przybyły z kraju nadbałtyckiego do ziem polskich, czyli t. zw. „kraju przywiślańskiego“ na służbę, korzysta z wszelkich przywilejów, nadanych urzędnikom rosyjskiego pochodzenia, synowie rosyjskich urzędników przybyłych do „kraju nadwiślańskiego“, wychowani na miejscu, żadnych przywilejów już nie posiadają. „Szczęśliwi“ są ci, co zapewniwszy sobie miejsce w kraju, wyjeżdżają na krótki czas do wewnętrznych guberaii, wstępują tam na służbę bezpłatną, a stamtąd podają prośbę o przyjęcie ich do służby w „kraju nadwiślańskim“; ci bowiem zyskują przywileje, jako przechodzący do „kraju nadwiślańskiego“. Ale godni są pożałowania ci, którzy „nie mając środków na wyjazd“, celem urządzenia „takiej sztuczki“, albo też nie posiadają „dość ważkich wpływów“, aby liczyć, że w danym wypadku ta „dobrze znana magistraturze miejscowej sztuczka“ znajdzie takie „pobłażanie, jak w wielu innych wypadkach“. Korespondent domaga się rozszerzenia przywilejów służbowych, na wszystkich Rosyan bez wyjątku.

Z naszych zdrojowisk.

Krynica 7 sierpnia.

Liczba osób, bawiących w Krynicy, dochodzi już do 4000. Tak wielkiej liczby nie było dotąd w żadnym roku o tej porze, ale pomimo to mieszkań nie brakuje. Za to w łazienkach mineralnych i borowych trzeba brać takie godziny jakie są, gdyż o wyborze dogodnych godzin przy tak licznym zjeździe mowy być nie może, jeżeli ktoś nie zaopatrzył się naprzód na kilka dni w bilety kąpielowe. Pokazuje się więc, że rząd powinien jak najspieszniej zabrać się do budowy nowych łazienek mineralnych i borowinowych. Przybudowanie kilku lub kilkunastu gabinetów łazienkowych niewiele tu pomoże. Należałoby wybudować łazienki trzeciej klasy dla gminu żydowskiego, a prócz tego łazienki borowinowe. Jestto daleko potrzebniejsze, aniżeli budowanie domów mieszkalnych, które zresztą powstaną z inicyatywy prywatnej, jak tylko okażą się potrzebne.

Najlepiejby było wybudować łazienki mineralne na miejscu mającego się zburzyć domu „Pod Koroną“ w Krynicy, a łazienki błotne na miejscu zburzonego już „domku maszynisty“. Wody mineralnej nie braknie, są bowiem dwa źródła obok drogi prowadzącej do Tylicza, a trzecie w Słotwinie. Wszystkie te źródła dałyby się sprowadzić rurami lub naturalnym spadkiem do zbiornika obok łazienek, postawionych w wyżej oznaczonem miejscu. Oprócz tego należałoby odpowiednio przekształcić ujęcie głównego źródła i zbiornika przy istniejących już łazienkach i — o ile się da — powiększyć w nich liczbę gabinetów. Obecnie można wydawać najwyżej 800 kąpieli mineralnych dziennie, gdyż na tyle tylko wystarcza liczba gabinetów, licząc po dziesięć godzin dziennie na jeden gabinet.

Że zaś zarząd Krynicy nie może się zasłaniać brakiem funduszów na dokonanie ulepszenia, gdyż dochody jego ciągle się powiększają, o tem świadczy chociby tylko ten fakt, że w roku bieżącym po zreformowaniu sprzedaży biletów do kąpiel jest już rząd że sprzedał tych biletów o 10.000 zł. więcej jak w roku zeszłym o tej porze (w roku 1894 było do końca lipca około 17.000 zł., a w roku bieżącym 27.000 zł.). Prawda, że do tej pory mamy o 570 osób więcej, niż roku zeszłego, ale ta różnica i poprzednia — zdaje się nam — nie stoją w prostym stosunku do siebie. Jestto wskazówką, że i kapitał wyłożony na budowę łazienek nie będzie stracony, owszem oprocentuje się korzystnie.

Rozrywek nam tutaj nie brak. Mieliśmy koncert Barcewicza, teatr amatorski, koncert kapeli kolonii wakacyjnych ze Lwowa, loteryę fantową na cele doroczne i kilka zabaw dla dzieci i starszych. Wkrótce zaś będziemy mieli koncert Friemana i Hofmana, a w przyszłą niedzielę przybędzie pułk dzieci sandeckich.

MAŁY FELJETON.

Przeniesiony w przyszłość.

Możnaby napisać bardzo zajmującą historyę utopijnych utworów poetycznych, przedstawiających idealne państwo przyszłości, począwszy od „Utopii“ Tomasza Moora, która dała nazwę wszystkim tego rodzaju utworom, a nawet jeszcze przed „Utopią“ aż do czasów obecnych. W historyi tej znalazłoby też swe miejsce kilka utworów polskich, jak z dawniejszych I. Krasickiego „Przygody Doświadczyńskiego“, albo z najnowszych parę nowel Zagórskiego, Zacharyasiewicza „Oryon i Chryzantema“ i inne. W ogóle zaś utopijna literatura w ostatnich niespełna dziesięciu latach urosła niesłychanie. Pomijając rozgłośnych romansów, przenoszących nas w przyszłość i malujących ją na różowo lub na czarno, zaczął Hertzka swoim „Freilandem“, największą zaś sławę zyskał sobie Amerykanin Bellamy powieścią „W roku 2000.“

Teraz odezwał się znowu dr. Hertzka i niezrażony niepowodzeniem z praktycznemi próbami swoich pomysłów freilandowskich, dokonywanych w Afryce, puścił w świat nowy romans utopijny pt. „Przeniesiony w przyszłość.“

Pomysł romansu przypomina treść jednej z powieści Abouta, gdzie jest przedstawiony jakiś oficer francuski, który zabalsamowany po bitwie pod Lipskiem, budzi się po 50 latach i znajduje się jako żyjący anachronizm wśród obcego świata. Przypomina też pomysł humorystyczno-satyrycznej noweli Poego p. t. „Krótka rozmowa z mumią“.

We wstępie opowiada dr. Hertzka jak to w r. 1893 z synem zmarłego swego przyjaciela, Juliuszem Raymontem, wielce uczonym młodzieńcem, był na występie Bellincioni w operze. Na drugi dzień chce go odwiedzić, udaje się do jego mieszkania, ale go tam nie znajduje. Wszelkie poszukiwania na nic się nie przydają, Raymont przepadł jak kamień w wodzie. Dopiero w rok po zniknięciu, na jego biurku znajduje się kawałek zamkniętej rury z jakiegoś metalu, a wewnątrz rękopis pamiętników Raymonta. Odbite one były czcionkami maszyny do pisania, z poprawkami ręką Raymonta. Z pamiętników tych, które autor niby to wydaje, okazuje się, że Raymont istotnie zniknął, ale nie z powierzchni ziemi, tylko z teraźniejszości, bo „przeniesiony został w przyszłość“.

A więc obudziwszy się następnego dnia po pamiętnem przedstawieniu, Raymont znalazł się odrazu w r. 2094, właściwie w r. 175 komunistycznej ery, gdyż w r. 1919 po narodzeniu Chrystusa, wybuchła rewolucya socyalna, która miała przebieg tak punktualny, tak rotowy, tak skuteczny, że dr. Hertzka nie waha się od niej rozpocząć nowe liczenie czasu. Raymont rozgląda się po otoczeniu i jest niemało zdziwiony. Oto tam widzi rzekę, poznaje ją po zakrętach, niewątpliwie to Sekwana; owdzie katedra „Notre Dame“, tam „Arc de triomphe“, więc jestto Paryż, a przecież już nie Paryż! Puszcza się w drogę przez obszerne ogrody i spotyka dziwnie ubraną młodą kobietę, która mówi pół po francusku, pół po angielsku — jestto nowy język, coś w rodzaju wydoskonalonego Volapuku! Nieznajoma tytułuje go „cudzoziemcem“ i sprowadza do niego „mądrego Leonarda“, pewnego starca, który w dogodnej kabinie aëroptery w ciągu paru minut przylatuje na swoim *aeropterze*.

Mędrzec, bo w r. 175 komunistycznej ery co drugi to mędrzec, zdziwiony jest mocno widokiem Raymonta, wszystkiem co w około niego się dzieje, gdyż w r. 2094 o czem go zapewnia, że d. 24 maja 1893 r. wieczór położył się spać w Paryżu, stołecznem mieście Francyi. Ale Francyi, zwłaszcza jej stolicy która przed dwiestu jeszcze laty zwała się Paryż, już nie ma — opowiada „mądry Leonard“. Paryż jest teraz tylko osadą pasterską, liczącą niespełna 2000 mieszkańców. Mieszkańcy Paryża, jak w ogóle całej północnej Europy i w ogóle zimnych okolic, przenieśli się w piękniejsze, bardziej stosowne do mieszkania części naszej planety. Gęsto zamieszkałe są zwłaszcza południowe wybrzeża Europy, ale tylko w t m miejscu, gdzie je góry osłaniają przed północnymi wiatrami. Sycylia zaś cała jest miastem, stolicą ziemi, liczy 56 milionów mieszkańców, a ma 7 milionów prywatnych domów i ogrodów, czterdzieści publicznych bibliotek, po paręset sal liczących, a stanowiących ogniska życia publicznego. Dalej na wyspie — przepraszam — w mieście „Sycylii“ jest dwa tysiące sal operowych, teatralnych i koncertowych, jednem słowem wspaniale jest w tem cudownem mieście. Hertzka nie powiada tylko jakiemu magistratowi polecono jego zarząd, gdyż jeżeli byłemu lwowskiemu, to kuso tam jest z polewaniem ulic. Interesującem jest natomiast, co opowiada Hertzka o oświetleniu ulic w owych czasach. Rolę tę bowiem spełnia pewnego rodzaju zorza północna, wytworzona sztucznie z magnetyzmu ziemskiego, a oświetlająca ulice *al giorno*.

„Mądry Leonard“ opowiada jak dokonano tego wielkiego przewrotu. Stało się to gładziutko, jak po mydle, wprawdzie nie obeszło się bez gwałtownych wstrząśnień, krwawych walk, zaciętego oporu, ale to wszystko drobnostki w porównaniu z dobrodziejstwami „nowego świata“. Nie ma pieniędzy, tego „dziedzicznego trądu“ ludzkości, nie ma wyzyskiwania, nie ma nadprodukcyi!

Nie odrazu wszystko się tak ułożyło co prawda, mówi dr. Hertzka. Z początku istniały trzy wielkie kierunki w nowem społeczeństwie: indywidualistyczno-anarchistyczny, anarchistyczny i komunistyczny. Dr. Hertzka przez usta „mądrego Leonarda“ kreśli, jak praktyka połączyła wszystkie trzy kierunki i stworzyła z nich jedną mądrą formę państwową. „Mądry Leonard“ naturalnie przekonuje Raymonta, ale dr Hertzka nie przekonuje czytelnika, który nie może zrozumieć z jednej strony, dlaczego biurokracya wybujała ma być niezbędnym warunkiem „mądrej formy państwowej“, a z drugiej strony, co to za państwo anarchistyczne, opierające się na biurokracyi?

Bo ta biurokracya w r. 175 ery komunistycznej, to istny polip. Posłuchajmy tylko opowiadania Leonarda. Pieniędzy nie ma w nowym świecie, mimo to wartość jednogodzinnej pracy „mądry Leonard“ oblicza bardzo dokładnie na 1 funt i 22 pensów, a ponieważ każdy przeciętnie 3 godziny dziennie pracuje, więc dochód jego roczny wynosi 1000 funtów szterlingów (12500 zł.). Połową tego może każdy swobodnie rozporządzać, reszta na cele publiczne. Wszystko to załatwia się przez konta bankowe. W stolicy „Sycylii“ znajduje się bowiem olbrzymi dom, niejako główna kasa świata (!), buchhalterya całego świata (!). Każdy człowiek ma tam swoje konto i to zaledwo przyjdzie na świat Po co to konto istnieje, dr. Hertzka, a właściwie „mądry Leonard“ nie objaśnia, bo przecież sam powiada, że w owej epoce przymusu pracy nie ma, ale nie ma i próżniaków, gdyż każdy z nich wstydzi się tak, tak wuj jenerała w słynnej gramatyce Ollendorfa

Naturalnie ziemia i wszystkie środki produkcyi są wspólne, a środki komunikacyjne są dość osobliwe Kolei, tramwajów, powozów nie ma. Tylko pomiędzy ważniejszymi punktami „latają“ *Gacodromy*, a do lokalnego użytku są wspomniane *aëroptery*. Aeronautyka więc kwitnie. Dzięki tym urządzeniom każdy może w Sycylii spełniać urząd np. profesora, lub rzemiosło wykonywać, a na obiad lub kolacyę przylatywać do domu w okolice dawnego Lwowa np. i zasiąść z żoną w gronie dzieci przy stole zastawionym piwem, winem, potrawami, które smakują, jak przepyszne pieczywo lub inne frykasy, a są właściwie produktami białkowatymi, przygotowanymi w fabrykach chemicznych. A wieczerzy tej przyświeca lampa, zasilana przez magnetyzm ziemski. Czyż nie oczywisty to raj? Ale nie wiemy, jak się w nim Raymont zaaklimatyzował. Bo powieść kończy się tem, że Raymont, który nawiasem powiedziawszy zakochał się w jednej z pięknych cór nowej epoki, ma być oddany na leczenie sławnemu psychiatrze, sprowadzonemu w ciągu paru godzin z Indyi, gdyż sądzi ciągle, że mu się śni, wszystko bowiem co widzi dokoła siebie wydaje się nieprawdopodobnem i niemożebnem. Co prawda, czytelnik podziela to jego zdanie.

KRONIKA.

Lwów 9 sierpnia.

Pismo ks. kardynała Ledóchowskiego. W odpowiedzi na wspólny adres wysłany do ks. kardynała Ledóchowskiego z okazyi jego pięćdziesięcioletniego jubileuszu kapłańskiego, a podpisany przez Episkopat galicyjski obrz. łac., przez kapituły katedralne, oraz przez najwybitniejszych przedstawicieli władz rządowych i autonomicznych, świata naukowego i obywatelstwa, ks. kardynał Ledóchowski nadesłał na ręce ks. Morawskiego, arcybiskupa lwowskiego, następujące pismo:

Najprzewielebniejszy ks. Arcypasterzu! Wasza Arcybiskupia Mość wraz z Najprzewielebniejszymi Sufraganami i księciem Biskupem krakowskim, z przewielebnemi kapitułami, duchowieństwem i licznym zastępem dostojnych obywateli raczyła mnie zaszczycić odezwą, nad wszelki wyraz dla mnie cenną, w której odczytałem wyrażenia uczuć dla mnie najprzychylniejszych, łaskawie skreślonych z okazyi jubileuszu mego kapłańskiego. Wzruszony do głębi serca tym objawem szczerej życzliwości, składam zań W. Arcyb. Mości, a za jej uprzejmem pośrednictwem, wszystkim, co tak świetnie uczcić zechcieli uroczystość zaprawdę dla mnie bardzo drogą, najżywsze i najpokorniejsze dzięki. Upatruję w tym kroku mej galicyjskiej Braci dowód, że ścisłym jest węzeł, który nas łączy i że on stanowi nowe a silne ogniwo, które wszystkich nas do Stolicy Piotrowej przykuwa, ogniska prawdy i sprawiedliwości. Z głębokiem uszanowaniem i najwyższym szacunkiem mam zaszczyt pozostawać Waszej Arcybiskupiej Mości uniżony i oddany sługa *M. kardyuał Ledóchowski*. Rzym 25 lipca 1895.

Ruch przedwyborczy. Wybory do sejmu jak zapewniają, odbędą się w następujących terminach: dnia 25 września z kuryi muiejszych posiadłości, dnia 30 września z kuryi miast i izb handlowych, a dnia 3 października z kuryi większych posiadłości.

Starostwa rozesłały już rozporządzenia do wszystkich zwierzchności gminnych, aby przystąpiły bezzwłocznie do sporządzenia spisów wyborców do sejmu na podstawie wykazów urzędu podatkowego z r. 1895.

Poczekalnie. Dyrekcya tramwaju elektrycznego urządza kilka kiosków dla publiczności zmuszonej czekać na wozy. Dwa kioski bardzo eleganckie, oświetlone elektrycznie, staną koło kawiarni wiedeńskiej, po obu stronach drogi przecinającej Wały hetmańskie. Trzeci kiosk stanie koło szpitala głównego, a czwarty przy bramie cmentarza Łyczakowskiego.

J. Fałat nowy dyrektor krakowskiej szkoły sztuk pięknych kupił majątek pod Krakowem.

Z placu wystawy. Komisya wydelegowana przez Radę miejską, a mająca się zająć sprzedażą przedmiotów wystawowych, zakupionych przez gminę miasta Lwowa, urzęduje jeszcze ciągle. Przeważna część objektów jest już sprzedana. Piękny pawilon miasta Lwowa przeniesiony został na dół do parku Kilińskiego. Oczywiście bardzo wiele rzeczy pozostanie własnością gminy, gdyż nie nadają się do sprzedaży. Pawilon przemysłowy pozostanie nietknięty, a odbywać się tam będą mogły wystawy peryodyczne. W innych budynkach zaś pomieszczone zostanie wojsko podczas koncentracyi.

Egzamina kwalifikacyjne nauczycielskie do szkół ludowych pospolitych i wydziałowych przed komisyą egzaminacyjną we Lwowie rozpoczną się dnia 23 września br. Podania o przypuszczenie do egzaminu wnosić należy w drodze służbowej najpóźniej do 10 września br.

Konkursa. Wydział powiatowy w Rawie ogłasza z terminem 30-dniowym konkurs na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Magierowie, z roczną płacą 500 zł. i dodatkiem na koszta podróży w kwocie 300 zł.

Przewiezienie obrazów z pałacu Łazienkowskiego. Dzienniki petersburskie donoszą, iż wskutek starań starszego konserwatora zbiorów w Ermitażu, A. J. Somowa, przewieziono z pałacu Łazienkowskiego do Petersburga pięć nader cennych obrazów, należących niegdyś do galeryi książąt Lubomirskich a mianowicie: „Portret młodzieńca“ Rembrandta van Ryn (szkoły holenderskiej); 2) Jana Streen „Bogactwo lub miłość“, obraz przedstawiający młodą dziewczynę, z jednej strony stoi koło niej młodzieniec, patrząc na nią czule — z drugiej zaś strony starzec ofiarujący jej złoto i pierścień; 3) „Portret artysty“ Wawrzyńca van der Helst; 4) „Portret własny“ pędzla Arent de Heldera; wreszcie 5) „Kradziony całus“ Fragonnarda Na miejscach zajmowanych na ścianach pałacu Łazienkowskiego przez obrazy wyżej wymienione, zawieszono inne.

Burza z gradem szalała dnia 2 b. m w powiecie kołomyjskim. Ucierpiały głównie gminy: Cieniawa, Turka i Piadyki, gdzie wiatr pozrywał dachy na licznych zabudowaniach, a grad wyrządził w polu znaczne szkody.

Pożar wybuchł dnia 28 z. m. w Grodowcach w powiecie starom ejskim i zniszczył 11 zagród włościańskich, wyrządzając szkodę na 6000 złr. Ogień był podłożony, zbrodniarza dotychczas jednak nie ujęto.

Morderstwo z zemsty. W kantorze firmy Haas et Deutsch w Budapeszcie zjawił się wczoraj inżynier Czaczar pierwotnie u firmy tej zatrudniony i prosił o przyjęcie napowrót, a gdy mu odmówiono, dobył rewolweru i wymierzył do jednego z wspólników, Ludwika Deutscha, którego trupem położył. Zamordowany należał do najzamożniejszych osób w Budapeszcie. Czaczara aresztowano.

Wyścigi konne w Rymanowie. Donoszą nam ze sekretaryatu „Galicyjskiego Towarzystwa zachęty i wzajemnej pomocy w chowie koni“, że pierwsze walne zgromadzenie Towarzystwa odbyło się w zakładzie kąpielowym w Rymanowie Po sprawozdaniu z czynności Komitetu założycieli uchwalono statuta, poczem przystąpiono do wyboru prezydyum i komitetu. Jednogłośnie wybrani zostali: hr. Jan Tarnowski prezesem, p. August Gorayski zastępcą prezesa, p. Kazimierz Ostoia Ostaszewski wiceprezesem. W skład Komitetu weszli: hr. Witold Łoś, hr. Adam Męciński, Stanisław Ostaszewski, hr. Jan Potocki, hr. Józef Potocki i ks. Ernest Wilhelm Windisch-Grätz.

Środki do osiągnięcia celu, wyrażonego w samej nazwie Towarzystwa, są następujące: Ochrona hodowli galicyjskiej od szkodliwej konkurencyi hodowlanej innych prowincyi Austryi, jakoteż ułatwienie zbytu koni ujeżdżonych i wypróbowanych. W myśl tego dopuszczone są do współubiegania się o nagrody Towarzystwa tylko konie galicyjskie — t. j konie urodzone w Galicyi, w Ks. Krakowskiem i na Bukowinie, lub w roku urodzenia wraz z matką wprowadzone do wyż wymienionych prowincyj. W biegach, dotowanych przez Towarzystwo zachęty, wykluczeni są jockeye, jakoteż konie, które do czasu wyścigów nie pozostawały w kraju, lub były w rękach trenerów licencyonowanych. Z nagród wyścigowych Towarzystwa, otrzymują hodowcy wygrywających koni 15 pct. (10 pct. pierwszemu, 5 pct. drugiemu).

Celem ułatwienia zbytu koni i zachęcenia do sprzedawania tych koni w wyrobionym stanie, Towarzystwo urządzać będzie biegi sprzedaży przychówku stadnin, jako też popisy koni myśliwskich, będących na sprzedaż. W ten sposób tor rymanowski stanie się dla hohowli galicyjskiej miejscem pierwszych prób wartości przychówku, a Towarzystwo ułatwi sprzedaż produktów hodowli krajowej, starając się o nabywców ogłoszeniami w pismach krajowych i zagranicznych; nabywcy zaś będą mieli sposobność wybrać i zakupić wprost u źródła konie, których poszukują,

Termin wyścigów i popisów na rok pierwszy oznaczono na pierwszą połowę września. Wszelkie komunikaty i program wyścigów ogłaszane będą w czasopiśmie „*Hodowca koni*“, oficyalnym organie Towarzystwa Zachęty.

Z okolicy Woronienki piszą nam: Zwiedziłem niedawno dokładnie tę pyszną kolej i jej okolicę uroczą. O nader trudnej a świetnie wykonanej budowie tej górskiej kolei pisać nie będę; chcę tylko zwrócić uwagę na miejscowość bezsprzecznie w tej okolicy najpiękniejszą i posiadającą wszelkie warunki, by w niej założyć drugie Zakopane.

Zdumiony byłem, widząc w Jaremczu początki zakładu klimatycznego. Dlaczego tę miejscowość wybrano, pojąć trudno. Dolina Prutu wąska i niepiękna. Lasy na zachód odległe, na wschód wprawdzie bliskie, ale od Jaremcza odcięte Prutem, przetrzebione i tak strome, iż jako miejsce do spacerów służyć nie mogą.

Brakuje również tej miejscowości rzeczy niezbędnej w górskiej okolicy, tj. gór.

Pod względem zdrowotnym same minusy. Położenie stosunkowo niskie, bo tylko 547 metrów nad powierzchnią morza. Dolina na północ zupełnie dla zimnych wiatrów otwarta, zaś w samem Jaremczu kompletny brak drzew, a zatem i cienia. Wreszcie i woda do picia nieszczególna.

Jakże inaczej przedstawia się Worochta, położona w dolinie roziegłej, prześlicznej, okolonej lasami i prawdziwemi górami. Także Prut i kolej okrążają Worochtę, co podnosi piękność krajobrazu.

Położona w wysokości 839 metrów nad poziomem morza (prawie tak wysoko, jak Zakopane), zasłonięta jest szczelnie od północy pasmami gór Magóra 1270 metrów, Ryza 1292 m. i Worochteński 1325 m. Cienia obfitość, woda idealna.

Miejsce klimatyczne powinno również być wdzięcznem polem dla turystów. Worochta leży — że tak powiem — u stóp Czarnohory.

Z Żabiego (skąd obecnie robi się wycieczki na Czarnohorę) do góry Howerla 2058 m, najwyższego szczytu pasma Czarnohory, odległość wynosi 20 kilometrów. Z Worochty na szczyt Howerli jest 15 kilometrów.

Na zakończenie donoszę o spacerze, który z Worochty odbyłem na górę Kukuł 1542 m. Odległość 7 kilometrów. Widok na całe pasmo Czarnohory przepyszny. Howerlę ma się przed sobą tak blisko, że gołem okiem można owce na jej stokach rozpoznać.

Losowanie posagów. Przy odbytem dnia 24 czerwca rb. w kaplicy św. Zofii we Lwowie losowaniu posagów wygrały: z fundacyi im. Jana Antoniego Łukiewicza 4251 zł. Marya Franciszka Czecził z zakładu sierót św. Kazimierza we Lwowie; z fundacyi im. Wincentego Łodzi Ponińskiego 300 zł. Józefa Helena Grzybowska, a 600 zł. Marcela Stanisława Magdziarczyk; z fundacyi im. Elżbiety Czarkowskiej 84 zł. Leokadya Szłapa z zakładu sierót św. Kazimierza we Lwowie; z fundacyi im. Karola Soboty

---

2)

Wycieczka na Monte-Cassino.

(Ciąg dalszy).

Ale takich malowniczych widoków jest w tych stronach więcej. Bo oto przebiegłszy szybko urodzajną ale teraz dosyć pustą dolinę rzeki Liris, spostrzegamy po lewej stronie drogi kolejowej osadę zbudowaną na spadzistym i wcale wąskim grzbiecie nagiego, skalistego pasma górskiego, która odłączywszy się od głównego łańcucha, w dolinę opada. To Aquino, miejsce urodzenia rzymskiego satyryka Juvenalisa ale zarazem i duchem znacznie nam bliższego św. Tomasza z Aquinu, doktora ewangelicznego, wielkiego filozofa chrześcijańskiego, którym, jako uczniem swoim i wychowankiem, szczyci się klasztor na Monte Cassino.

Ale oto w tej chwili właśnie już się zbliżamy do celu dzisiejszej wycieczki, bo na skalistej, prawie nagiej, przeszło 500 metrów po nad dolinę wyniosłej górze o stokach mocno stromych zabielały do słońca potężne mury wielkiego dwu piątrowego gmachu na wysokiem podmurowaniu. Z po za klasztoru wysterczają kopuły i wieże kościelne. Cały gmach przedstawia się jakby z dwóch osobnych złożony budynków, połączonych ze sobą wysokim murem, nie dostającym jednak aż do dachu. Jak z okien rozmaitego kształtu i wielkości wnioskować można, nie odrazu stanął gmach taki, jak go dzisiaj widzimy, lecz w kolei wieków, po licznych burzach jakie nad nim przeszły, odbudowywano go częściowo. Widać że i obronne położenie nie zachowało go przed ręką nieprzyjaciół, spodziewających się tam, jak Szwedzi niegdyś w naszej Częstochowie, znaleść nagromadzone skarby.

Bo też istotnie to opactwo przez wiele wieków miało ogromne dochody, które obliczano na 100.000 dukatów rocznie. Mnóstwo benedyktyńskich klasztorów po wszystkich krajach Europy rozsianych podlegało wprost Monte Cassino a starożytna niemal sława i po wszystkie wieki gorliwe pielęgnowanie umiejętności ściągały dla tego najpierwszego w Europie zakonu hojne ofiary i zapisy. Kiedy w r. 1866 rząd włoski poznosił zakony, stracili i Benedyktyni resztę swoich posiadłości ale sam klasztor pozostał nieknięty, lecz przeciwnie uznany jako pomnik narodowy. Również pozostawiono zakonnikom prawo utrzymywania w swoich murach zakładu naukowego wychowawczego, 5 klas niższych czyli gimnazyum i 3 wyższe czyli liceum, co odpowiada naszemu gimnazyum w całości, z prawem wydawania świadectw publicznych.

Jestto więc podobny zakład jak u nas mają Ojcowie Jezuici w Bąkowicach pod Chyrowem i podobnie jak tutaj, uczą tam obok zakonników także nauczyciele świeccy.

Tymczasem nasz pociąg otoczywszy wielkiem półkolem klasztorną górę i u stóp jej biegnącą Via Latina, stanął na stacyi Cassino.

Zaledwie wysiedliśmy, otoczył nas, jak to zwykle we Włoszech bywa, rój natrętnych obdartusów, fachinów, weturynów i lazzaronów, narzucając swoje usługi lub domagając się natarczywie jałmużny. Od dwóch lat żebractwo we Włoszech ogromnie wzrosło i już obecnie rząd, nie mogąc sam podołać coraz większej nędzy mieszkańców, nie ochrania tak jak dawniej podróżnych przed natarczywością żebraków. Albo się więc trzeba nieustannie na wszystkie strony opłacać, albo, kogo nie stać na to, uzbroić się w świętą cierpliwość, nie odzywać się wcale i nie zważać na bezczelne nagabywan a, trwające całemi godzinami i prześladujące wszędzie, na ulicy, w domu, w muzeach i kościołach

Więc choć zgodziliśmy Votturina i umieściwszy na przodzie obraz, wsiedliśmy do wygodnej landary zaraz wskoczył na kozioł młody chłopak bez butów i czapki (mimo, że słońce dobrze paliło) i niby dla trzymania w drodze obrazu tam się umieścił; drugi stary obdartus przyczepił się z tyłu za powozem, chcąc jak mówił, wskazać nam w mieście restauracyę, choć go o to wcale nie prosiliśmy, bo to samo mógł zrobić veturino wiozący nas, tylko że oni sobie „w zarobku“ nie przeszkadzają. Tak więc w towarzystwie wjechaliśmy do pobliskiego miasteczka, skąd dopiero wjeżdża się na drogę wężowato pnącą się w górę. W miasteczku przed restauracyą, gdzie wstępujemy dla pokrzepienia się szklanką wina, powtarza się ta sama historya, co na dworcu. Mnóstwo osób otacza powóz, starych i młodych, kobiet i mężczyzn, a w tym ścisku trzeba się dobrze mieć na baczności, ażeby co nie przepadło. Widocznie spotyka to samo każdego turystę i pielgrzyma, których tyle odwiedza klasztor Monte-Cassino. Ale tym razem pobudza ciekawość tłumów głównie obraz i owa nieznana Włochom ciemna twarz naszej Bogarodzicy i tak pełna niezrównanej łagodności, cierpienia i łaski. Więc dopytują się ciekawie o owe kreski na obliczu Najświętszej Panny, a otrzymawszy wyjaśnienie, rozprawiają gwarno i żywo giestykulują, a słowa: „Questo imago da Polonia“ przebiega z ust do ust. Wielu odkrywa głowy i żegna się, inni szepcą modlitwy, bo z tem wszystkiem lud to pobożny i na swój sposób uczciwy. Nasz mały towarzysz trzymający obraz, ledwie zdoła się opędzić natarczywie się cisnącym i z tryumfalną miną spogląda na tłumy z wysokości swego kozła.

Ale tymczasem już znowu wsiadamy do powozu i przebywszy szybko kilka ulic i placów, skręcamy na lewo pod górę na drogę do klasztoru wiodącą. Teraz dopiero, ujechawszy kilka zakrętów, zaczynamy nasycać się przepysznym widokiem, który w miarę wznoszenia się na coraz wyższe serpentyny, staje się coraz rozleglejszym i wspanialszym. Cała ogromna dolina Gazigliano, jakby jednym ciemnozielonym dywanem przykryta, poprzecinanym na wszystkie strony białemi liniami dróg; na lewo od wschodu i przed nami na południe okalają ją szare przedgórza, z po za nich wysterczają inne góry i szczyty, za którymi jeszcze wyżej, o ile mgła nie przysłania, świecą się zdala ku słońcu śnieżne wierzchy Abruzzów.

Miasto Cassino leży teraz u stóp naszych, jak na dłoni; ulice, place, białe domy i gmachy o czerwonych dachach odróżnić można dokładnie, wśród nich wystercza kilka wież kościelnych. Ładne i dosyć czyste miasteczko nie ma oprócz swego położenia i okolicy nic zresztą uwagi godnego, ale ma za to sławę historyczną. Nazwa „Cassino“ bowiem, od starożytnej kolonii rzymskiej Cassinum, która niegdyś w tem miejscu istniała, restytuowaną została przez rząd włoski dopiero w r. 1870; dawniej i przez całe średnie wieki miasto i gród warowny „La Rocca“ dominujący nad niem na niższym stoku klasztornej góry, nosiły nazwę San Germano, wielokrotnie w dziejach wspominaną. Tu w r 1230 wiarołomny cesarz Frydryk II pogodził się z Papieżem Grzegorzem IX, zanim znowu złamał przysięgę i z Papieżami stanął do walki.

Zamek „La Rocca“ jest dziś dobrze zachowaną ruiną. Szare mury i 4 baszty narożne otaczają warowny kwadrat; od wschodu wystercza jeszcze wysoko nadszczerbiona wieża i z tej strony, jako łatwiej dostępnej, wyciąga się mur zamkowy aż niemal do połowy wysokości stoku dla ochrony grodu od niespodziewanego podejścia. Całość, pobudzająca silnie fantazyę, jest dziś tylko dla malarza niepospolitym tematem.

Zachwycając się takimi widokami, dojeżdżamy wreszcie do szczytu góry, porosłej tutaj rzadkimi krzakami i drzewami o pożółkłych teraz i czerwieniejących się liściach. Wszędzie z pod skąpej warstwy ziemi wystercza naga skała wapienna, a rośliny tu rosnące, nie naturze, lecz ciężkiej pracy ludzkiej zawdzięczają swe życie; mimowoli nasuwa się pytanie, dla czego święty Benedykt mając w pobliżu tak piękną i urodzajną dolinę, nie tam, lecz tu na dzikim, skalistym, i gdyby nie droga w skale wykuta, niedostępnym szczycie górskim wybrał siedzibę dla siebie i swojej braci?

Ale odpowiedź sama się na to znajduje. Wszakże na sztandarze swego zakonu wypisał ów święty założyciel pracę, a tu właśnie najstosowniejsze było miejsce, by dać wspaniały przykład, co praca dokonać może. O wszystko tu oprócz chyba skały trzeba było się postarać, wszystko w czoła pocie, w ciężkiej pracy i znoju zdobyć.

Do tego jeszcze inna zachęcała go okoliczność Oto tu na tej górze przed wiekami wznosiła się pogańska świątynia Apollina, której szczątek zachował się jeszcze do dnia dzisiejszego. Słuszną więc mógł mieć święty Benedykt w tem ambicyę, aby na gruzach pogaństwa zajaśniał krzyż Chrystusowy.

Już pod samym szczytem objeżdżamy do koła klasztor i stajemy przed bramą. Pod obszernem sklepieniem prowadzi sień brukowana nieco pod górę i tu wita nas furtyan, któremu się oznajmiamy kto jesteśmy i z czem przyjeżdżamy. Zanim dano znać przełożonym zakonu, wchodzimy na wewnętrzny podwórzec obszerny, czworokątny, wybrukowany. Z trzech stron otacza go kryte łukowe sklepienie oparte na kamiennych kolumnach, a z czwartej kilkadziesiąt schodów marmurowych prowadzi na wyższą terasę. Od niższego podworza oddziela ją piękna, wolno stojąca arkada. Przed nią wznoszą się i dominują nad całem podwórzem i cysterną dwa piękne olbrzymie posągi św. Benedykta i św. Scholastyki.

Michał Lityński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Paula Gałuszko z zakładu sierót św. Kazimierza we Lwowie.

Poselstwo abisyńskie opuściło wczoraj Petersburg i udaje się na Kijów i Odesę do Konstantynopola i Jerozolimy, skąd przez Port Said i Obok powróci do domu. Leontiew towarzyszy deputacyi.

Wiec katolików odbędzie się w Monachium 25 i 29 b. m. Weźmie w nim udział bardzo wiele osób z Austryi i Szwajcaryi. Zapowiedziano już pociągi nadzwyczajne z Insbruku i Salzburga. Oczekiwane jest przybycie deputacyi stowarzyszenia katolickich nauczycieli ludowych, deputacyi wiedeńskiego związku robotniczego i wiele innych.

Koburgiada. *Mainzer Journal* ogłasza pismo bawiącej w Mainz krewnej ks. Ferdynanda, księżnej Braganza, o kwestyi zmiany wyznania przez dom bułgarski. „Ks. Ferdynand — zaznacza list — jest zbyt dobrym katolikiem, aby kiedykolwiek mógł wyrzec się swojej wiary lub zezwolić, aby jego syn Borys wychowywany był w schyźmie. Tak samo księżna Raczej oboje wyrzekliby się tronu, nawet życia. Przed kilku dniami pisała w tym duchu do mnie moja córka księżna Parmy, a teściowa księcia“. Dzienniki wiedeńskie powątpiewają o autentyczności tego listu, gdyż jak twierdzą, ani rodzina Braganza, ani księstwo Parmy, wcale nie mieszają się do spraw bułgarskich i do dynastycznej polityki bułgarskiego księcia. Nieprawdopodobieństwem przeto jest, aby ze strony księżnej Braganza mogła wyjść podobna enuncyacya jak powyższa.

Standard donosi z Sofii, że rząd bułgarski zamierza postawić Cankowa i Karawełowa w stan oskarżenia. Cankow obwinionym jest o plan, mający na celu oddanie tronu ks. Jerzemu greckiemu, Karawełow zaś również rozwijać miał usiłowania, zmierzające do abdykacyi ks. Ferdynanda.

Berliński *Kleines Journal* donosi z Sofii: Stoiłow oznajmił podczas interviewu z jednym z zagranicznych dziennikarzy, że dla nawiązania przyjacielskich stosunków z Bułgaryą, żąda Rosya jedynie przejścia księcia Borysa na wiarę prawosławną, co jest także życzeniem większości bułgarskiego ludu.

Książę Ferdynand miał już jutro przybyć do Sofii, ale jak nam donoszą z Wiednia, powstrzymał jeszcze swój wyjazd tam, a udał się do zamku w Ebenthalu, gdzie ma przepędzić tydzień i dopiero potem udać się do stolicy swego księstwa.

Straszny wypadek. Chłopak, którego onegdaj na ulicy Pańskiej przejechał walec żelazny, zwał się Luzer Eichel i był praktykantem u koszernego rzeźnika Noego Weltera przy ul. Owocowej.

Przebrany mężczyzna. *Wiener Tagblatt* donosi: W niedzielę przedpołudniem przybyła do hotelu Zillinger w Wiedniu bardzo strojna dama z mocno zawelonowanem obliczem, ale — o bardzo niskim tonie głosu, tak, że służba hotelowa powzięła zaraz podejrzenie, iż pod damską suknią ukrywa się mężczyzna. Dama podała nazwisko swoje jako Joanna Stupecka, żona adjunkta sądowego z Rzeszowa. Zdumienie służby było jeszcze większe, gdy Stupecka podała pokojowej perukę do fryzowania. Dano znać do policyi, gdzie wezwana Stupecka odsłoniła tajemnicę i podała, że jest mężczyzną, 33-letnim suplentem jednego z gimnazyów lwowskich, nazwiskiem Jan Sz. Wesoły pan Sz. chciał się w ten sposób zabawić, ale sztuka się nie powiodła i wychowawca młodzieży odpowie za żart przed kratkami sądowemi.

Zwolennik Tołstoja. Z Budapesztu donoszą o następującym ciekawym wypadku: Zastępca lekarza wojskowego dr. Bela Skarvan, jako fanatyczny wyznawca nauki Tołstoja, nie chciał pełnić służby wojskowej. Sąd wojskowy w Koszycach, zbadawszy jego stan umysłowy, skazał go na utratę rangi, trzy miesiące więzienia, po odsiedzeniu którego ma odbyć resztę służby wojskowej jako prosty żołnierz w linii i wreszcie na utratę dyplomu doktorskiego.

Stambułow na scenie. Jakiś spekulant wyzyskał już tragiczną śmierć Stambułowa w ten sposób, że wprowadził go jako bohatera do swojego dramatu. Utwór ten, polegający na samych ponurych i denerwujących efektach, zatytułowany jest „Stambułow, oswobodziciel Bułgaryi“ i wyszedł z druku w Hanowerze. Pytanie, czy się który teatr zdecyduje grać tę sztukę?

Rozruchy przeciw ludności chrześcijańskiej w Chinach przybierają rozmiary naprawdę groźne. Dnia 7-go b. m. rozhukana tłuszcza rzuciła się na misyę angielską i amerykańską w Fuczu i zburzyła do szczętu szpitale, pozostające pod zarządem tych misyi. Wśród ludności miejscowej obiega pogłoska, że mają być zniszczone wszystkie misye w prowincyi Kwangtung. W dzień po zaburzeniach w Fuczu odpłynęła tam kanonierka chińska dla przywrócenia porządku, ale przeprawa będzie prawdopodobnie bardzo trudną, gdyż fanatyczni wyznawcy Konfucyusza tworzą tam związek „wegetaryanów“, liczący 120.000 ludzi i tak dobrze uzbrojony, że może nawet oprzeć się regularnej armii, oczywiście chińskiej. Mordercze napady na chrześcian w Kuczeng, Wasang i Fuczu, skłoniły rząd angielski do energicznych kroków dyplomatycznych, do których Anglia czuła się powołaną w pierwszym rzędzie z tego tytułu, że połowa wymordowanych misyonarzy składała się z obywateli Wielkiej Brytanii. Poseł angielski w Pekinie zażądał mianowicie gruntownego śledztwa i przykładnego ukarania winnych. Życzeniu temu uczynił rząd chiński w całej pełni zadość, powierzając śledztwo angielskiemu konsulowi w Fuczu i dodając mu do pomocy eskortę wojskową. Nadto wydał cesarz proklamacyę, w której oświadcza, że każdy, ktokolwiek brał udział w zaburzeniach w Kuczeng, Wasang i Fuczu, ukarany będzie śmiercią. Jeżeli fanatyzm chiński okaże się mniejszy od obawy przedwczesnego dostania się do raju, w takim razie energiczne te zarządzenia uspokoją wzburzoną ludność, w przeciwnym razie Chiny staną się widownią dalszych krwawych niepokojów, których nieustające zarzewie tli w najniższych warstwach ludności od czasu wkroczenia pierwszych chrześcijan w granice państwa niebieskiego. Prócz Anglii zaniepokoiły się ostatnimi wypadkami w Chinach także Niemcy, ale na telegraficzne zapytanie urzędu spraw zagranicznych, nadeszła uspakajająca odpowiedź, że w czasie rzezi nie padł ani jeden niemiecki poddany.

Najnowszy numer *Wschodnioazyatyckiego Lloyda* tak opisuje wybuch rozruchów w miejscowości Czengfu: Pewien protestancki lekarz misyjny dokonał na chorej Chince, która od kilku tygodni leżała w łóżku, niebezpiecznej operacyi połogowej. Na świat przyszedł zdrów i dzielny mały Chińczyk, ale matka w kilka dni potem umarła. Mąż zmarłej, dowiedziawszy się o tem, posłał natychmiast po lekarza, a gdy się ten pojawił na progu jego mieszkania, rzucił się na niego z pięściami. Wywiązała się zacięta walka, w której doktorowi się udało uwolnić się z rąk rozwścieczonego Chińczyka i uciec. Ale w ślad za nim pobiegł napastnik, alarmując głośnym rykiem mieszkańców całej dzielnicy, tak, iż niebawem powstało ogromne zbiegowisko. Jeden z tumultantów uderzył nawet pięścią uciekającego lekarza, który zatrzymał się na chwilę i zwrócił Chińczykowi otrzymany raz. To dało sygnał do zaburzeń. Z okrzykiem „Smierć cudzoziemcom!“ rzucili się tumultanci na szpital misyjny, gdzie się tymczasem schronił napastowany lekarz. Ponieważ jednak drzwi zaryglowano w obawie napadu, a tymczasem noc zapadła, rozprószyła się tłuszcza do domów. Na drugi dzień do zwłok zmarłej po operacyi Chinki szły formalne procesye, zagrzewając się wzajemnie w nienawiści do Anglików. Naprężenie umysłów, zamiast uspokoić się, zaczęło się wzmagać coraz gwałtowniej i doprowadziło do znanych już rezultatów. Dodać należy szczegół, że część fanatycznych mieszkańców Czeng-fu wygrzebała w ogrodzie misyjnym szczątki zamordowanego przed 70 laty biskupa Dufresse i rozrzuciła je po ulicach na pośmiewisko.

Pamflet przeciw armii pruskiej. Opinia publiczna nad Sprewą żywo zajmuje się pamfletem, skierowanym przeciw armii. Autorem broszury jest b. porucznik bawarski, niejaki Krafft. Ogłosił on dziełko p. t. „*Glaenzendes Elend*“, w którem bardzo surowej poddaje krytyce oficerów niemieckich, zwłaszcza oficerów pruskich. Porucznik Krafft należy do licznej jeszcze kategoryi Niemców południowych, którzy z najwyższem niezadowolnieniem znoszą hegemonią wojskową i polityczną Prus. Autor „Błyszczącej nędzy“ przedewszystkiem uprzedza czytelnika, iż wyszedł z wojska bawarskiego dobrowolnie, co go uwalnia od podejrzeń, że pisał rzecz swoją pod wpływem zemsty lub zawiści osobistych. Następnie kreśli cel swej pracy, która ma być skierowana nie przeciw osobom, lecz systemowi, ma wykazać różnicę pomiędzy zwodniczemi pozorami niemieckiej organizacyi wojskowej, a jej wartością rzeczywistą, ma wreszcie protestować przeciw gwałtom, któremi rząd tłumi dające się słyszeć od czasu do czasu krzyki alarmowe. Przeprowadzając porównanie pomiędzy Bawaryą a Prusami, porucznik Krafft stwierdza, iż w Bawaryi organizacya wojskowa jest mniej despotyczną, niż na północy rzeszy niemieckiej, gdzie nieznaną jest, między innemi, jawność obrad sądów wojennych. Bardzo sceptycznie wyraża się porucznik Krafft o poziomie umysłowym oficerów pruskich, z których bardzo niewielu skończyło kurs gimnazyalny. Autor broszury nie ogranicza się na wskazaniu złego, ale zarazem projektuje i środki zaradcze, do których należą: zamiana szkół kadeckich na szkoły cywilne; wprowadzenie reform do szkół wojskowych, aby uczniowie wychodzący ztąd, stali na równym poziomie umysłowym z oficerami armii innych krajów; polepszenie warunków bytu oficerów niższych stopni; zniesienie lub bardzo gruntowne zreformowanie klubów oficerskich, gdzie oficerowie muszą codziennie bywać obowiązkowo, co, zdaniem Kraffta, wpędza ich w długi i oddaje na łaskę i niełaskę żydów lichwiarzy; zreformowanie ustawy, nadającej żołnierzom prawo skarżenia się na nadużycia, popełniane przez zwierzchników; wreszcie, co najważniejsza, wprowadzenia jawności do sądów wojennych. Broszura wywołała już odpowiedź ogłoszoną, jak twierdzą, z rozkazu samego cesarza Wilhelma. Jest to broszura zatutułowana „*Glaenzendes Elend?*“ której autor, Edward Goldbeck, stara się odpierać zarzuty, czynione armii pruskiej przez b. lejtnanta bawarskiego.

Dewizy. Niepodobna już dziś odebrać różowego bileciku, przepojonego wonią *ess bouquet*'ów, któryby nie mieścił na sobie jakiegoś szumnobrzmiącego urywka, hasła, dewizy. „*J'y suis, j'y reste*“ — pisze jedna, pewna widocznie siebie, korespondentka „*c'est mon droit*“ — twierdzi znów inna; „*Semper idem*“ — zapewnia ktoś trzeci. Ba! nietylko w korespondencyi salonowej, ale w najzwyklejszym cyrkularzu kupieckim, w nagłówku gazety, w ogłoszeniu nawet mieszczańskiego kupca niejednokrotnie spotykamy się z frazesami, które brzmią ładnie zawsze, roztropnie zaś o tyle, o ile dokładnie zastosowane są do okoliczności.

Zkąd ta moda? Ztąd, zkąd mody wszystkie. W pogoni za „stylem“ takim lub owakim moda zwraca się tym razem do czasów średniowiecznych, gdy rycerze utrwalali swe wojenne hasła — *cride guerre* — na proporcach, szyszakach, ryngrafach, tarczach i mieczach. Hasła te powstawały pod wpływem pamiętnego jakiegoś zdarzenia, albo też były symbolicznem określeniem znaków herbowych i nazwiska.

Kolebką dewiz — Francya, językiem zaś, najczęściej używanym dla ich określenia — łacina.

Skromnie brzmiało pierwotne hasło władzców Francyi, mianowicie: „*Mont Joie Saint Denys*“. Godło to trwało niedługo, bo na mocy prawa salickiego, odmawiającego kobietom prawa do tronu, zmieniono je na: „*Liliae non laborant neque nent*“ (Lilje nie pracują, ani też przędą).

Godłem Wielkiej Brytanii jest powszechnie znane: „*Honny soit qui mal y pense*“, utrwalone również na najwyższej odznace honorowej angielskiej, orderze Podwiązki, ustanowionym przez króla Edwarda III go na cześć hrabiny Salisbury. Założyciel orderu, sięgając po tron francuzki, dołączył do dewizy powyższej następną: „*Dieu et mon droit*“. Dewiza ta do dziś dnia wije się pod tarczą władzców Anglii na wstędze wśród angielskiej róży, irlandzkiej koniczyny i ostu szkockiego.

Nie angielskiego za to pochodzenia jest dewiza książąt Walii, który to tytuł służy stale następcom tronu Wielkiej Brytanii. Brzmi ona: „*Ich diene*“, a wzięta jest z herbu króla czeskiego, zabitego przez księcia Walii w bitwie pod Crécy.

Niejednokrotnie, zamiast dewiz, używano oddzielnych liter, których znaczenie rozumiano bardzo dowolnie. Tak więc cesarz Fryderyk II-gi używał na herbie liter: „A. E. I. O. U.“, co znaczyć miało: „*Austriae est imperare orbi universo*“. Również dom Sabaudzko-Carignan zadawalniał się na tarczy herbowej literami: „F. E. R. T“. Rozumiano napis dwojako. Albo: „*Femi a erit ruina tua*“ (Kobieta będzie twoją zgubą), albo też: „*Frappe, entr, rompe tout*“ (Zapukaj, wejdź, rozprosz wszystko). Znaczenia tej oryginalnej dewizy dotychczas nie wyjaśniono.

Wspaniale brzmią godła niektórych rodzin. *Si j'avance, suivez moi; si je fuis, tuez-moi; si je meurs, vengez-moi* (Jeżeli pójdę naprzód, idźcie za mną; jeżeli się cofnę, zabijcie mnie; jeżeli umrę, pomścijcie mnie) — brzmi rodowe hasło Duvergier'ów margrabiów de La Rochejacquelain. Dumne te a pełne swady rycerskiej słowa miał wyrzec 20-letni ledwie bohater Wandei, naczelny wódz rojalistów, Henryk Duvergier, poległy w bitwie pod Nauaille w r. 1794.

A hasło książąt Guzmanów de Medina Sidonia? „*Maspesa el rey que la sangue*“. (Ważniejszy dla mnie król, niż krew własna). Dewiza ta powstała w roku 1293-cim, gdy oblęgający twierdzę Tarifę maurowie zagrozili wodzowi hiszpańskiemu, broniącemu twierdzy, Don Alonzo Perez Guzmanowi, wystawieniem na pociski syna jego, wziętego do niewoli. Czyż to nie przypomina Karlińskich z Olsztyna?

Słynna rodzina książąt Rohanów szczyci się godłem: „*Roi ne puis, duc ne daigne, Rohan suis*“ (Królem być nie mogę, księciem być nie raczę; jestem Rohanem). Kardynał Richelieu miał na swej tarczy: „*Semper idem*“. (Zawsze ten sam). Książęta d'Aumale, gałąź Orleanów, piszą: „*Ferro non auro*“ (Żelazem, nie złotem). Książęta d'Uzes pięknie określają cnoty rycerskie: „*Noble sang, noble coeur*“. (Szlachetna krew, szlachetne serce). Dumna rodzina Byronów używała za godło: „*Crede Byron*“ (Wierz w Byrona). Hasło Cezara Borgii brzmiało: „*Aut Caesar, aut nihil*“ (Albo Cezar, albo nic). Na tarczy baronów Eastów widniał lakoniczny napis: „*J'avance!*“ (Postępuję naprzód!) Hrabiowie de Rochetin margrabiowie de la Garenne pieczętowali się wspaniałem: „*Blessure au coeur, jamais à l'honneur!*“ (Rana w sercu, ale nigdy na honorze!)

Nie brak i dewiz romantycznych, kreślonych na cześć kobiet ukochanych. Franciszek I-szy, król Francyi, w dniu bitwy pod Padwą, w której „wszystko straconem było, prócz honoru“, pod herbem nosił godło: „*A la femme*“, nakreślone na cześć Anny d'Heilly de Pisseleu, księżnej d'Estampes, słynnej antagonistki Diany de Poitiers, księżnej de Valentinois. Rodzina Beaumanoir znów używała hasła: „*J'aime qui m'aime*“ (Kocham tego, kto mnie kocha). Henryk II-gi książę de Guise de Lorraine nosił na tarczy herbowej napis: „*Tout par amour, rien par force*“. (Wszystko miłością, nic siłą).

Zmarli. Fryderyk Engels, jeden z najwybitniejszych socyalistów współczesnych, przyjaciel Karola Marxa, zmarł dnia 5 bm. w Londynie. Będąc z urodzenia Anglikiem, Engels zrósł się duchowo z Niemcami, przebywał w Niemczech długi czas i brał nawet tam udział w rewolucyi 1848 roku. Jego przyjaźń z Marxem nie ograniczyła się tylko do osobistych stosunków, gdyż po śmierci Marxa, Engels opracował z luźnych zapisków i wydał drugi i trzeci tom jego „Kapitału“. Oprócz tego sam pisał wiele np. „O rodzinie pierwotnej“, „O położeniu robotników w Anglii“, „O pochodzeniu własności i państwa“, wszystko naturalnie w duchu marksowskiego socyalizmu. Dzieła jego odznaczają się ciężkim stylem i zawiłością myśli. — Celestyna z Ludwigów Dorożewska, żona starszego radzcy skarbowego, umarła w Winnikach. — Jan Swoboda, aptekarz, b. burmistrz miasta Grzymałowa, umarł we Lwowie w 54 roku życia.

Stan powietrza. T. o 8 rano +11° R. w poł. +13 R. Bar. 760. Nieruchomy. Deszcz.

Szczyt miłości. — Kocham panią nad życie, przez panią spędzam bezsennie nawet godziny biurowe.

Literatura i Sztuka.

* **Kronika muzyczna.** J. Ulrich, uczeń nieśmiertelnego Gounoda, napisał trzyaktową operę „Retman“ do tekstu Armanda Silvestra i Arystydesa Gaudreya. Wystawiono ją po raz pierwszy w Szarlottenburgu 23 lipca w sezonie bardzo niekorzystnym, gdyż w czasie, kiedy cała prawie elegancka publiczność bawi u wód. Mimo to opera stała się od razu głośną, a niektórzy krytycy są nią tak zachwyceni, że wróżą jej powodzenie gounodowskiego „Fausta“. Wielkie bogactwo melodyi i mistrzowska instrumentacya mają być głównymi zaletami „Retmana“. Treść opery, zaczerpnięta z podania ludowego na Sycylii, jest następująca: Młody rybak sycylijski kocha się w szesnastoletniej Marcie, która mu odpłaca gorącą wzajemnością. Pewnego dnia Marta, trapiona złowrogiem przeczuciem, prosi kochanka, ażeby nie puszczał się na morze, a gdy odważny junak nie usłuchał jej zaklęć, aby się nie wydać bojaźliwym, daje mu jako talizman pierścionek i pożegnalny całus. Przeczucie Marty nie okazało się płonnem. Zrywa się szalona burza, bałwany morskie biją z wściekłością o brzegi, wichry grają ponurą pieśń zniszczenia, a nie ma nikogo, coby podążył z pomocą młodemu rybakowi oprócz retmana Meturino, również pałającego namiętną miłością do Marty.

„Ocalę go — woła Meturino do Marty — ale pod warunkiem, że zostaniesz moją żoną“. Zrozpaczona Marta, drżąc o życie ukochanego, zgadza się na warunek i retman ocala rybaka. Następnego dnia, w święto M. Boskiej, kochankowie zamierzali udać się do kościoła, aby miejscowym zwyczajem poświęcić ślubne obrączki. Ocalony rybak przepełniony szczęściem przychodzi do domu Marty, aby z nią pójść do kościoła, a ona blada ze ściśniętem sercem pokazuje mu obrączkę retmana. Młodzieniec w gniewie rzuca jej talizman pod nogi i opuszcza progi jej domu, gdy na tę scenę przychodzi retman. Widząc, że łamie szczęście dwojga ludzi, decyduje się na bohaterski czyn. Wypływa na swej łódce na dalekie morze, aby nigdy nie wrócić, a Marcie zwrócić wolność i możność poślubienia ukochanego. Opera obfituje w sceny efektowne i głęboko poetyczne, przedstawienie ucierpiało jednak z powodu niedostateczności środków technicznych, a nadto raziło nieudolne tłómaczenie. Niektóre ustępy przyjęto z zapałem. Preludyum instrumentalne trzeciego aktu na ogólne życzenie musiano powtarzać. Sam kompozytor dyrygował orkiestrą i po każdym akcie grzmiącymi oklaskami wywoływany był na scenę.

Krakowski sezon operowy zbliża się ku końcowi po tryumfach, których Krakowowi można istotnie pozazdrościć. Przedewszystkiem świetnym był personal. Prócz Myszugi, który oczywiście stanowił, podobnie jak zawsze we Lwowie, główną siłę atrakcyjną, występował cały szereg wybitnych sił. Przedewszystkiem tedy przedstawił się publiczności krakowskiej nieznany tam wcale a bardzo utalentowany śpiewak, bohaterski tenor p. Szlaffenberg, o którego np. występie w partyi Eleazara z „Żydówki“ tak pisze znakomity krytyk muzyczny Fr. Bylicki: „P. Szlaffenberg, w wdzięcznej roli Eleazara, był od początku do końca artystą, który rolę zupełnie opanował. Jego głos silny mienił się odcieniami, a gdzie chodziło o użycie siły, tam sprawiał potężne wrażenie. Aryę w czwartym akcie pojął bardzo pięknie, bo uwydatnił boleść bez granic, głosem spokojnym na pozór, ale pełnym uczucia. Dykcya jego odznaczała się nietylko jasnością, ale łatwością, z jaką trudny tekst polski umiał szybko miejscami recytować bez szkody dźwięku w śpiewie. Umiał również utrzymać w roli Eleazara wzniosłość obok ognia. Publiczność dała też wyraz nadzwyczaj żywy zadowolnieniu i darzyła p. Szlaffenberga oklaskami grzmiącymi i wywoływaniem“.

Po występach Szlaffenberga zaprezentował się Krakowianin p. Warmuth, w ten sposób więc trzech pierwszorzędnych tenorów uświetniło sezon. Występy Floryańskiego i Bandrowskiego, a także zapowiedziane wystawienie „Lohengrina“ nie przyszły jeszcze do skutku. Ze śpiewaczek, prócz młodych sił, jak p. Kruszelnicka i Strassernówna, oraz głośnej już pomimo niedługiej jeszcze stosunkowo karyery scenicznej p. Konarskiej z Warszawy, wystąpiła kilkakrotnie znakomita artystka opery budapeszteńskiej a przedtem drezdeńskiej i lwowskiej p. Camilowa oraz znana już na obu półkulach Mira Heller. Tylko występy trzeciej gwiazdy polskiego personalu operowego p. Maryi Pawlików Nowakowskiej z niewiadomych przyczyn nie przyszły do skutku. Z sił męskich pełne uznanie zjednali sobie nadto pp. Jeromin, Zegarkowski, Wołoszko, Górski i Bernhard. Co się tyczy repertoaru, to ten przyniósł dotychczas tylko jedną nowość, a właściwie wznowienie tj. „Flisa“ Moniuszkowskiego. O „Flisie“ pisze Fr. Bylicki: „Muzyka niewybredna; miejscami zupełnie nie budząca zajęcia, ma tylko chóry, a przedewszystkiem chór wstępny bardzo ładny. Wykonano „Flisa“ przeważnie w tempie za szybkiem, a jednak bez właściwego humoru. Pomimo tego za niektóre ustępy artyści otrzymali bardzo żywe i zasłużone oklaski. Przedewszystkiem p. Kasprowiczowa“. Dodać trzeba, że Krakowianie na dobre zasmakowali w operze. Wprawdzie bowiem teraźniejsze *staggione* pp. Bandrowskiego i Hellera kończy się już niebawem, ale na jesień organizuje się pod zarządem dyrekcyi teatru nowa trupa, która ma grać do końca roku, a od stycznia przenieść się do nas.

Zmarły przed półtora rokiem twórca „Fausta“ Karol Gounod, pozostawił pamiętniki, w których szczegółowo opisuje swoje lata młodzieńcze. Matka Karola, kobieta bardzo wykształcona, pochodziła z Rouen, z rodziny, która podupadła w czasie rewolucyi. W roku 1806 Wiktorya Lemachois poślubiła malarza Franciszka Ludwika Gounoda. Z małżeństwa tego przyszło na świat dwóch synów: inżynier Urban i muzyk Karol. Malarz Gounod, człowiek chorowity, umarł w roku 1823, pozostawiwszy rodzinę w nędzy. Matka tedy zabrała się do pracy i z lekcyj gry fortepianowej żywiła dzieci. Karol od dzieciństwa okazywał zadziwiające zdolności do muzyki. Miał trzy lata, gdy zadał matce pytanie: „Maman, pour quoi il chante en do, qui pleure (do minor)?“ Matka jednak nie pragnęła dla syna karyery artystycznej, pomna kłopotów i zawodów męża. Z pamiętników widoczne jest, iż Gounod wybił się na pierwszorzędne stanowisko o własnych siłach, że ciężko pracować musiał na utrzymanie, zanim stypendyum „rzymskie“ otrzymane w konserwatoryum paryskiem, zapewniło mu swobodę pracy.

„Dziesiąta symfonia“ Beethovena, jak donoszą z Londynu, zrobiła fatalne *fiasco*, w słynnej sali St. James Hall. Jak wiadomo, Beethoven napisał tylko 9 symfonii, ale pewna angielska *miss* imieniem Helena Edyta Green zrobiła odkrycie, iż ją nawiedza duch“ Beethovena i użycza jej swojego natchnienia. Nieustraszona młoda Angielka zasiadła tedy do roboty i tak oto powstała owa „Dziesiąta symfonia Beethovena w C-dur“. Zabawna spółka „Green-Beethoven“ oświadcza zupełnie seryo, iż już od lat dziesięciu otrzymywała wskazówki“ ze świata duchów. Nie mówi już ona nawet „Ja i Beethoven“, ale poprostu: „My“. „Czasem — powiada — mogliśmy oboje z duchem tak łatwo i szybko pracować, iż robota szła nadspodziewanie wdzięcznie; czasami znów duch się ociągał i trzeba było ustawicznie się cofać i poprawiać“. Rzecz oczywista, że wspólniczka Beethovena ma najwyraźniejsze zajączki w głowie i dziwić się należy tylko temu, iż tak poważna instytucya, jak St. James Hall, teren poważnej muzyki, zdecydowała się na danie gościnności takiemu eksperymentowi! Prasa i krytyka londyńska dopiero teraz, po skandalicznem przedstawieniu, rozdziera szaty, nazywając kompozycyę mis Green bezczelną śmiałością i najnieudolniejszą łataniną.

Historyę nienapisanej opery Leoncavalla opowiadają dzienniki niemieckie w tych słowach: Znany i wielce przez dwór berliński protegowany kompozytor włoski Leoncavallo podjął się był już dawniej ułożyć muzykę do opery, która miała otrzymać tytuł „Roland berliński“. Teraz p. Sonzogno, nakładca utworów Leoncavalla, ogłasza zdumionemu światu, że maestro się rozmyślił i opery o Rolandzie nie napisze. Inicyatywa w tej sprawie wyszła w swoim czasie od cesarza Wilhelma II, więc cofnięcie się kompozytora od zaszczytnego zadania liczne musi wywołać komentarze. Krytyka niemiecka, zwłaszcza berlińska, bardzo nieżyczliwie traktowała Leoncavalla i mimo wysokiej protekcyi bez ogródki nazwała go szarlatanem. Być może więc, że kompozytor zraził się nieżyczliwością krytyków niemieckich.

Słynna śpiewaczka Melba opowiada następujący epizod ze swego życia: Największy sukces osiągnęłam pewnego poranku w Savey Hotel w Nowym Jorku. Przygotowywałam właśnie partyę królowej w „Hugenotach,“ jak wiadomo, pełną trylleró w i roulad. Przed drzwiami bawił się na korytarzu mały trzyletni chłopczyk. Słyszę ciche pukanie do drzwi Otwieram i widzę chłopczynę. „Proszę pani — mówi — czy nie mógłbym także ptaszka zobaczyć?“ Z tego sukcesu — mówi Melba — jestem najdumniejsza.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 7 sierpnia.

(Z.) Nie wesoła była i dzisiaj fizyognomia giełdy. Akcye Statsbahnu, które przez cały rok wraz z kredytami stanowiły podwalinę wszelkiej haussy, gwałtownie spadają, a o powodach tego spadku kursują zarówno tutaj jak i w Berlinie najrozmaitsze pogłoski. Mówiono n. p., że porzucenie przez rząd zamiaru upaństwowienia tej kolei jest ciosem dla towarzystwa i że z tego powodu w łonie rady zawiadowczej i dyrekcyi panuje przesilenie nadto ministeryum handlu wystósowało do zarządu tej kolei reskrypt, w którym nakazuje mu przedsięwziąć jak najrychlej szereg bardzo kosztownych inwestycyi, mówią, że kilkunasto-milionowych. Oczywiście dla akcyonaryuszy każda inwestycya jest rzeczą wielce niepożądaną, gdyż zmniejsza dywidendę. Więc też napływały akcye Statsbahnu zewsząd: z prowincyi, z Berlina, ze Szwajcaryi. Kontrmina berlińska przy tej sposobności atakowała także inne walory austryackie i dyskredytowała targ nasz rozszerzaniem pogłosek, że bilanse półroczne banków wiedeńskich są fatalne i t. p. W takiej więc ponurej atmosferze przeszedł dzień cały i oczywiście zakończył się obniżką kursów, gdyż kupujących było bardzo mało na targu.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 398·50, węgierskie 489·75, Anglobanki 168·—, Uniony 347·—, Bankvereiny 166·50, Länderbanki 276·75, Ludwiki 223·90, Czerniowieckie 321·60, Elbethale 294·—, Renta papierowa 100·85, srebrna 101·95, austryacka złota 123·15, 4% austr. renta wal. kor. 101·10, węgierska złota 123·10, 4% węgierska renta wal. kor. 99·80, dukat 5·72—, 20-frankówka 9·62½, marki 11·87, ruble 1·29½.

Wiedeń 7 sierpnia. Spirytus 16·90—17.

Telegramy „Przeglądu“.

Linc 9 sierpnia. Na wczorajszem posiedzeniu rady miejskiej odczytał burmistrz pismo posła tutejszego hr. Kuenburga (jednego z przywódzców lewicy), w którem on wyjaśnia i usprawiedliwia, dlaczego znaczna część lewicy w trzeciem czytaniu głosowała za budżetem. Otóż uczyniła ona to dlatego, że nawet odrzucenie budżetu w trzeciem czytaniu nie doprowadziłoby do pożądanego celu, gdyż gimnazyum słoweńskie w Cylei mogło być oktrojowane. Głosując zaś przeciw budżetowi, wykopałaby lewica jeszcze większą przepaść między sobą a resztą posłów i zbliżyłaby tylko do siebie te żywioły parlamentarne, które są nieprzyjazne Niemcom. Zatem takie postąpienie lewicy w tak krytycznej chwili byłoby czystą demonstracyą. Mówiąc szczerze: to, co lewica w drugiem czytaniu budżetu zrobiła, było także demonstracyą. Wszelako hr. Kuenburg nie mógł zgodzić się na to, aby w demonstrowaniu posunięto się za daleko.

Rada miejska przyjęła do wiadomości to oświadczenie hr. Kuenburga.

Sidney 9 sierpnia. Parowiec angielski „Catterthun“ płynący z Sidneyu do Hongkongu rozbił się na wybrzeżu południowej Walii. Okręt z całym ładunkiem poszedł na dno, ocalała tylko część podróżnych i załogi.

Roveredo 9 sierpnia. Jenerał Baratieri przybył tu wczoraj po południu. Na dworcu powitał go wiceburmistrz i kilku przyjaciół. Jenerał zamieszkał w prywatnym domu.

Paryż 9 sierpnia. Wczoraj umarł tu nagle socyalistyczny poseł Thivrier.

Lwów dnia 9 sierpnia (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 224— do 225—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 321.— do 325—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 440.— do —.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100·60 101·30. Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 100·75 do 101.45, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 98·— do 98·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·10 do 98.80, 4 proc. los. w 56 lat. 98·10 do 98·80.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc 98·40 do 99·10 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·25 do —.— Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.10 do 102.8 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·— —·—, 4 pół proc. 100.60 do 101.30, 4 proc. z r. 1891 98.30 do — —, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·30 do —.—.

Monety. Dukat cesarski 5·68 do 5.78, Napoleondor 9.59 do 9.69, Półimperyał 10.— do —.—, Rubel rosyjski papierowy 1.29 do 1.30, 100 marek niemieckich 59.25 do 59·65.

Wiedeń 8 sierpnia. Notowania wieczorne. Kredyty 397·12, węgierskie kredyty 485·75, anglobank 166·59, bankverein 165.50, unionbank 345·50, länderbank 273·00, staatsbahny 414·75, lombardy 109·12, elbethale 292.00, akcye tytoniowe 233.00, rima 282.50, alpiny 93.10, renta majowa 100.90, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna —.—, losy tureckie 73·70, węg. renta koronowa 99.85, marki 59.43, ruble 129.87.

Wiedeń 9 sierpnia (godz. 11 w południe). Kredyty —.—, kred. węg. —.—, Anglobanki 166·25, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 273.—, Akcye tyton. —.—, Staatsbahny 414.50, Lomb. (z kup.) 109.50, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki —.—, Losy tureckie —·—.

51)

DWIE KUZYNKI

POWIEŚĆ

przez **Katarzynę Green.**

(Przekład z angielskiego)

(Ciąg dalszy).

„Chciałam to uczynić, lecz słowa w gardle mi uwięzły. Patrzyłam za niemi długo, poczem wróciłam do domu i rozpłakałam się rzewnie.

„Nie będę panu opisywać, wśród jakich niepokojów i wyrzutów sumienia dzień ten mi zeszedł.

„Nad wieczorem, gdym siedziała w pokoju moim, smutna i zamyślona, weszła Mary.

„Zrzuciła odrazu płaszcz z ramion i ukazała mi się w białej sukni oblubienicy, z białemi różami we włosach.

„— Och! Mary! — zawołałam, wybuchając płaczem — a więc jesteś już...

„— Panią Clavering, do twych usług, cioteczko. Jestem już mężatką.

„— Lecz bez męża — szepnęłam, całując ją serdecznie.

„Moje wzruszenie udzieliło jej się także. Rozpłakała się.

„— Och! teraz, gdy już po wszystkiem, strach mnie ogarnia — mówiła przez łzy. — Zdaje mi się, że wyrzekając się mego nazwiska, pozbawiłam się nieocenionego skarbu.

„— Czyż nie pociesza cię myśl, żeś uczyniła męża twego najszczęśliwszym człowiekiem na świecie?

„— Nie rozumiem, co to za przyjemność być związanym na wieki z kobietą, która wolała odegnać od siebie męża, niż wyrzec się nadziei olbrzymiej fortuny?

„— Powiedz mi, jak się to odbyło.

„Lecz Mary nie czuła się skłonną do wynurzeń. Przebyte w ciągu dniu wrażenia obezwładniły ją zupełnie.

„Siedziała na ławeczce u nóg moich z rękami skrzyżowanemi na piersiach i zaiskrzonym wzrokiem.

„— Czy to się da utrzymać w tajemnicy? Ta myśl doprowadza mnie do szaleństwa — powtarzała. — Wcześniej czy później, musi to wyjść na jaw.

„— Czy was kto śledził? czy przewidujesz zdradę? — spytałam zaniepokojona.

„— O nie — odparła — lecz...

„— Więc czegóż się obawiasz?

„— Sama nie wiem, doprawdy. Nie zastanawiałam się dotychczas, że podobne rzeczy ukryć się nie dadzą. Byłam rozgorączkowana, nie wiedziałam sama, co robię i dlaczego. Teraz dopiero, gdy zmrok zapadł, czuję, że tajemnica ciąży mi kamieniem. O ciotuchno! Nie będę już miała chwili spokoju. Pozbawiłam się szczęścia na zawsze.

„I mnie także strach ogarnął.

„— Przez dwie godziny — mówiła — udawałam wesołość. Siedziałam w salonie w białej sukni ślubnej, z różami we włosach, wyobrażając sobie, że przyjmuję gości weselnych i odbieram od nich powinszowania. Lecz ta sztuczna wesołość pierzchła i oto przyszłam tutaj po raz ostatni może i klęcząc błagam Boga, aby się nademną ulitował.

„— Oh! Mary! — jęknęłam — więc zamiast ci szczęście zapewnić, sprowadziłam ci tylko smutek i wyrzuty sumienia.

„— Ach! czemuż wlano we mnie cześć dla złotego cielca. Gdybym, tak jak Eleonora, uważała zbytek, w którym byłyśmy wychowane, jako rzecz podrzędną i błahą, bez której łatwo się obejść, gdy tego wymaga obowiązek; gdyby nie otaczano mnie od dzieciństwa pochlebstwami; gdybym umiała bardziej cenić przyjaźń i szczęście domowe, nie stałabym się niewolnicą kosztownych i zbytkownych nawyknień. Eleonora jest inną zupełnie. Ona gotowa całemi godzinami siedzieć w ciasnej i dusznej izbie, kołysząc brudnego dzieciaka, własnoręcznie przyrządzając pożywienie dla chorej obrzydliwej staruszki. Powiadają, że usposobienie się zmienia. Och! gdybyż moje uległo zmianie. Lecz nie, ja czuję, że do końca życia pozostanę egoistką, samowolną i chciwą.

„Z trudnością zdołałam ją uspokoić, lecz tego jeszcze wieczora zrobiła odkrycie, które ją trwogą przejęło. Eleonora w ostatnich kilku tygodniach spisywała dziennik.

„— Oh! — zawołała Mary nazajutrz, donosząc mi o tem — dopóki ten dziennik będzie istniał dopóty nie zaznam spokoju. Lecz ona zniszczyć go nie chce; nadaremnie przedstawiałam jej, że zdradza moje zaufanie. Odpowiada mi na to, że to będzie jedyna jej obrona, w razie, gdyby wuj zarzucił jej, że nie powstrzymała mnie od tego kroku.

„Uspakajałam ją, tłómacząc, że Eleonora nie pragnie wcale jej zguby i jest jej życzliwą. Wreszcie poddałam jej myśl, aby prosiła kuzynki o złożenie tego dziennika w moje ręce aż dopóki nie będzie zmuszona uczynić zeń użytku.

„— Rada wyborna — zawołała Marya. — Do dziennika tego dołączę jeszcze akt ślubny. Teraz będę już zupełnie spokojna.

„Tegoż dnia rozmówiła się z Eleonorą, która przyjęła tę propozycyę, pod warunkiem, że nie zniszczę, ani oddam papierów bez upoważnienia stron obu.

„Włożyłam więc do blaszanego pudełka dowody zawartego związku, to jest metrykę ślubną, listy p. Clavering i wyjątki z dziennika Eleonory i zamknęłam pudełko na pierwszem piętrze, w biurku, gdzie pozostawały do dnia wczorajszego.“

Mrs. Belden spojrzała na mnie z niemą prośba w oczach.

„Nie potrafię panu tego wytłumaczyć — ciągnęła dalej — lecz wczoraj wieczór, pod wrażeniem dziwnej obawy, wzięłam to pudełko i wbrew pańskim radom, wyniosłam je z domu, a teraz...

— ...Są w mojem posiadaniu — dokończyłem.

— To niepodobna, zagrzebałam je wczoraj w spichrzu, który stał się pastwą płomieni. Zamiarem moim było poprostu ukryć tymczasowo dokumenta; spichrz był miejscem najodpowiedniejszem ku temu; powiadają, że tam „straszy“: człowiek jakiś powiesił się w spichrzu przed kilkunastu laty i odtąd nikt tam nie śmie zajrzeć. Niepodobna, abyś pan pozyskał te papiery, chyba, że...

— Chyba, żem je odnalazł i zabrał, nim jeszcze spichrz spłonął.

Poczerwieniała.

— A więc śledziłeś mnie pan?

— Tak — odparłem, a czując, że i ja także się rumienię, dodałem: — Mrs. Belden, oboje odgrywaliśmy dziwne role. Kiedyś, gdy wypadki te staną się wspomnieniem, przeprosimy się wzajemnie, lecz dziś mniejsza o to. Dość, że pudełko jest w miejscu bezpiecznem. Chciałbym jednak usłyszeć koniec tej historyi.

Słowa moje uspokoiły ją widocznie.

„Po powrocie p. Leavenworth — ciągnęła dalej — widywałam rzadko Mary, lecz ze słów jej wnosiłam, że ukrywszy dowody ślubu, uspokoiła się zupełnie i zdawała się uważać to małżeństwo za nieistniejące.

„W przeddzień odjazdu przyszła się ze mną pożegnać. Ofiarowała mi prezent, którego wartości nie znam, bom go wcale przyjąć nie chciała, pomimo jej próśb i nalegań.

„Lecz powiedziała mi owego dnia coś, czego nigdy nie zapomnę. Wyrażałam jej nadzieję, że za parę miesięcy zdoła zapewne przemódz opór p. Leavenworth i będzie mogła przybrać należne jej nazwisko i prosiłam, aby mi dała znać, gdy to nastąpi.

„— Stryj nie da się nigdy przekonać — rzekła. — Przypuszczałam to dawniej, a teraz jestem najzupełniej tego pewna. Śmierć jego jedynie mogłaby mnie połączyć z p. Clavering.

„Widząc, że współczuję tak długiemu prawdopodobnie rozłączeniu, zarumieniła się.

„— Nadzieje te wydają się bardzo odległemi — szepnęła. — Lecz jeśli p. Clavering mnie kocha, będzie czekał.

„— Ależ stryj twój jest jeszcze stosunkowo młody i zdrów bardzo — wtrąciłam. — Będziecie musieli czekać dziesiątki lat.

„— Wątpię — odparła. — Stryj nie taki zdrów, jak się wydaje, a zresztą...

„Urwała, przerażona jakby takim zwrotem rozmowy; na twarzy jej był wyraz dziwny.

„Nieraz go sobie przypominałam, nie mogąc zrozumieć. Zastanawiało mnie to nie dlatego, bym przewidywała, co się stanie — zanadto ją kochałam, aby jakiekolwiek niekorzystne wrażenie mogło pozostać dłużej w mym umyśle.

„Wkrótce potem otrzymałam od p. Clavering list, błagający mnie, abym mu doniosła, co się dzieje z osobą, która pomimo wszelkich obietnic, pozostawiła go w tak okrutnem oczekiwaniu i niepokoju; gdy nadto jedna z moich znajomych, powróciwszy z kilkotygodniowego pobytu w New-Yorku, opowiadała mi, iż Mary Leavenworth otoczona jest rojem wielbicieli; wszystko to zestawiwszy w umyśle, zaczynałam pojmować, że sprawa stoi na fałszywym gruncie i napisałam do Mary list, w którym jej powtarzałam słowa p. Clavering i ostrzegałam, że zapoznając prawa człowieka, który bądź co bądź był jej mężem, naraża się na nieprzewidziane niebezpieczeństwa.

„Odpowiedź jej zdziwiła mnie bardzo.

„„Nie myślę już o p. Clavering — pisała — i radzę ci, droga cioteczko, także o nim zapomnieć, choćby to było przykrem dla ciebie rozczarowaniem. Co zaś do tego gentlemana, uprzedziłam go, że przyzwę go, gdy to uznam za stosowne. Dzień ten jeszcze nie nadszedł.““

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Wacław Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej — Z drukarni nar. W. Maniackiego. Zarządca W. Hodak.